

JĘZYK POLSKI

W sprawie polskiego języka literackiego

II

Wzrost społeczny języka literackiego

W poprzednim numerze JP przeprowadziłem dyskusję z definicją języka literackiego, podaną przez prof. Taszyckiego¹⁾. Szło mi o to, że wbrew jego przekonaniu nie może za kryterium języka literackiego uchodzić poziom artystyczny utworów w nim spisanych, oraz że istnienie ogólnopolskich norm językowych w tekstach pisanych możemy stwierdzić już w XIV, a tym bardziej XV wieku. Nie było ich wiele, jednakże były, a nikt przecież nie może powiedzieć, od ilu norm rozpoczyna się język literacki. Innymi słowy, gdyby się opierać wyłącznie na istnieniu norm fonetycznych i fleksyjnych, to można by powiedzieć, że język polski był literackim, odkąd tylko zaczęto po polsku pisać. Zwróciłem też na to uwagę, że wykrycie norm uprawnia nas do przyjęcia, że istniała norma zabraniająca mazurzyć, która mogła być najstarszą normą w dialekcie kulturalnym, wyprzedzającym język literacki.

Gdy jednak mowa o normach, to od razu nasuwa się pytanie, kto był w społeczeństwie tych norm nosicielem i propagatorem, czy istniały warunki społeczne do powstania ogólnopolskich, ponaddzielnicowych norm. Szczególnie przyjęcie tezy prof. Nitscha, że mazurzenie istniało za pierwszych Piastów i że dwór piastowski przeniósł do mazurzącego Krakowa wymowę niemazurzącą, domaga się zbadania społecznych podstaw. Wprawdzie czas powstania mazurzenia nie jest nam znany — specjaliści wahają się między epoką przedhistoryczną a w. XV — ale rozważenie możliwości przyjęcia się niemazurzącej wymowy wielkopolskiej w mazurzącym Krakowie jest samo dla siebie zagadnieniem interesującym. Nawet prof. Taszycki, który głęboko jest przekonany, że mazurzenie jest późne, że go jeszcze nie było pod Krakowem, gdy się formował dialekt kulturalny (w XV wieku), na wszelki wypadek stara się wykazać, że warunków na przyjęcie się wymowy wielkopolskiej w Krakowie nie było. Uznanie, że w Krakowie przyjęto za Odnowiciela wymowę wielkopolską jako lepszą, zmuszałoby w konsekwencji do uznania, że już wówczas zaczął się rysować ponaddzielnicowy dialekt kulturalny. Ta możliwość przerażała niektórych uczonych, choć nie prze-

¹⁾ Powstanie i pochodzenie polskiego języka literackiego. *Twórczość* V, 1949, nr 12, s. 100—17.

rażała Brücknera, tyle tylko, że on brak mazurzenia tłumaczył wpływem nie wielkopolskim lecz czeskim.

Nikt tak mocno nie odrzucał możliwości przeniesienia wymowy wielkopolskiej do Krakowa, jak prof. Jan Dąbrowski. Na jego opinię powoływał się następnie prof. Taszycki (o. c., s. 115) cytując następujący, sugestywny urywek:

«Odnowiciel wracał do kraju pod opieką matki Niemki, po pobycie na Węgrzech i w Niemczech, na czele 500 rycerzy niemieckich, za żonę pojął Rusinkę. Jeśli ocaleli, jacyś dostojnicy jego ojca, o czym nic nie wiemy, to raczej małopolscy, skoro w Krakowie najpewniej czuł się książę. Gdzież na tym dworze, na którym większość początkowo po polsku w ogóle nie mówiła, (a nie można oceniać, jak mówili po polsku ci cudzoziemcy, którzy sobie język polski przyswajali) — doszukać się można czynnika przenoszącego starannie takie czy inne wymawianie pewnych dźwięków, gdy walczyć wypadało nie o taki czy inny dobór dostojników, ale o byt i jedność państwa, utrzymanie dynastii... O nieprzerwanej nici tradycji trudno mówić w takich warunkach, gdy sam władca wychowany przez matkę Niemkę, potem przez mnichów, wreszcie wędrujący za granicą, a opierający się politycznie i kościelnie o Kraków, nie czuł się z Wielkopolską związany bardziej niż z którąkolwiek inną z ziem swojego ojca». Miałoby się ochotę mnożyć przytoczenia z pięknej rozprawy prof. Dąbrowskiego — powiada prof. Taszycki.

Zagadnienie jest zbyt ważne, aby nie podjąć próby krytycznego spojrzenia na słowa prof. Dąbrowskiego wbrew urokowi, jaki one na czytelniku wywierają. Wszak nawet te same fakty, oglądane oczyma specjalisty innej naukowej dyscypliny, inaczej mogą być rozumiane i oświetlane. Mimo słów «Odnowiciel wracał do kraju pod opieką matki Niemki» nie był Kazimierz dzieckiem. Liczył lat 18 lub więcej, gdy kraj opuszczał, a w chwili powrotu miał już lat 22. Udając się więc na wygnanie był co najmniej od 10 lat językowo sformowanym człowiekiem. Pobyt za granicą trwał 4 lata, według niektórych historyków tylko rok; nie jest to czas, w którym się własnego języka zapomina, zwłaszcza że zazwyczaj wygnanym książętom ktoś z oddanych dworzan towarzyszył. Tylko małą część czasu spędził na wygnaniu z matką, a do kraju wrócił bez niej. Narodowościowy skład dworu nie jest nam znany, lecz jeżeli miał on księciu dawać oparcie w społeczeństwie, to nie mógł się składać z cudzoziemców. Posiłkowi rycerze niemieccy zapewne rychło powrócili do swego kraju, skoro Kazimierz po 4 latach pobytu w ojezyźnie prowadził politykę niezgodną z życzeniem cesarza. Że część dostojników Mieszka II dożyła powrotu Kazimierza, tego przykładem jest choćby Miecław (Masław), kiedyś cześnik Mieszka II. Opowieści o zamieszkach w Polsce są prze-

sadne: wszak trzymano cały czas jeńców ruskich, Brzetysław zaś zastał w r. 1038 nietknięte skarby w Krakowie, Poznaniu i Gnieźnie, nietknięte też były w Gnieźnie relikwie św. Wojciecha. Dopiero najazd Brzetysława Polskę spustoszył, wyludnił i na kilka miesięcy sprowadził chaos, póki nie wrócił Kazimierz w ostatnich miesiącach 1038 r. lub z początkiem 1039 r.¹⁾ Nie uległa przerwie rodowa tradycja Piastów, poznał ją po kilkudziesięciu latach Gal Anonim, przejmując ją z ust dygnitarzy kościelnych. Gdyby w hierarchii kościelnej byli wyłącznie cudzoziemcy, gdyby wyginęli urzędnicy Mieszka, nie byłoby możliwe tej tradycji utrzymanie.

Poziom kulturalny Piastów był wyższy niż w powieściach Gołubiewa. Chrobry umiał po niemiecku, Mieszko II po niemiecku, po łacinie i po grecku (dostał z tego powodu list gratulacyjny od ks. Matyldy). Pewną znajomość łaciny i niemieckiego posiadał sam Kazimierz, jako b. kleryk. Podobno i jego syn Władysław był w szkole przygotowując się na biskupa, z kolei tegoż syn, Zbigniew, był *litteratus* i — jak mówi Gal — barwniej przemawiał do ludu niż młodszy i nie wykształcony Krzywousty. Syn Krzywoustego, Kazimierz Sprawiedliwy, przeszedł *trivium* i *quadrivium*, lubił później dyskutować o zagadnieniach filozoficznych. Umiał po łacinie Przemysł I, może też Przemysł II²⁾. Tego rodzaju ludziom zagadnienia poprawności językowej nie mogły być obce. Były też w sąsiedztwie wzory: na Rusi literacki język starocerkiewny (i podobno już w XI w. niezależny od niego język «państwowy», rodzimy), w XI wieku wegetował jeszcze język starocerkiewny w Czechach, czemu właśnie uczeni czescy przypisują decydującą rolę we wczesnym powstaniu czeskiego języka literackiego³⁾. Dodajmy do tego znany fakt, że na dworze Chrobrego nie brakło Czechów, a brat św. Wojciecha, Radzim-Gaudenty, był pierwszym arcybiskupem gnieźnieńskim (zmarł koło 1028 r.).

Porównywanie dwóch sposobów mówienia nie wymaga istnienia jakiegoś wyrafinowanego poziomu kulturalnego, dialektologowie się z nim spotykają w bardzo prymitywnych warunkach. Lekceważy się lub szanuje po zapadłych wsiach pewne sposoby mówienia, czyż byłoby co dziwnego, gdyby na dworze pierwszych Piastów zachodziło to samo, gdyby i tam

¹⁾ Co do losów Kazimierza por. stosowne ustępy w Genealogii Piastów Balzera, w Historii politycznej Polski PAU t. I, w Dziejach Polski średniowiecznej Grodeckiego i Zachorowskiego. W pierwszym z tych dzieł czytamy taką o dworze opinię: «W ogóle dwór polski, stworzony przez Chrobrego z družyn i kościoła, miał w przyszłości, podczas katastrofy, utrzymać szkielet organizacji państwa; zdecydował on o tym, że Kazimierz I przystąpił nie do budowy, lecz do odnowienia państwa» (s. 61).

²⁾ A. Karbowski: Wykształcenie szkolne laików, zwłaszcza Piastów od 966 r. do 1364 r. Przegląd Powszechny t. 35, 1897, cz. 3, s. 410—33.

³⁾ Por. J. Kurz: Slovanské základy naší vzdělanosti (Slovanství v českém národním životě, s. 9—17) i F. Trávníček: Slovanské základy spisovné češtiny (tamże s. 79—92).

oceniano i krytykowano różne sposoby polskiej wymowy. Jeżeli już istniało mazurzenie, to jasne, że je uznano za sposób mówienia naganny. Gdy Kazimierz w tej sytuacji osiadał w Krakowie, to czyż mógł przejść na wymowę mazurzącą? Nie mazurzyła też jego żona Rusinka, którą pojął prawie natychmiast po powrocie z wygnania. Wymowę księcia i jego rodziny naśladowało otoczenie z dobrej woli, nie trzeba było do tego nakazu ani specjalnych zabiegów. Więc choć rację ma prof. Dąbrowski, że nikt nie miał na dworze głowy na to, żeby propagować wymowę wielkopolską, to z drugiej strony jasne jest, że to było zbędne. Przejściowa zależność Krakowa od Czech po wygnaniu Bolesława Śmiałego musiała pozycję wymowy niemazurzącej wzmocnić. Były też inne formy kontaktu z Czechami, jak np. masowa polityczna emigracja za rządów Sieciecha.

Ważnym zagadnieniem jest społeczny zasięg tej lepszej wymowy, czyli zaczątków dialektu kulturalnego. Sfery dworskie i koła wyższego duchowieństwa były z pewnością bardzo szczupłe i one same zapewne by nie zdołały narzucić innym i utrwalić swojego sposobu mówienia, gdyby to był sposób mówienia społeczeństwu zupełnie obcy. Dlatego właśnie nie miały warunków do przyjęcia się inne cechy wymowy na sposób czeski, np. wymowa *ruka* zam. *ręka*¹⁾. Z wymową niemazurzącą było jednak inaczej. W Małopolsce była ona wprawdzie zasadniczo obca, znana tylko wspomnianym wąskim kołom, ale za to w Wielkopolsce jej podstawy były szerokie. Ta właśnie okoliczność zadecydowała, dlatego brak mazurzenia, choć do jego zwycięstwa dopomogły wpływy czeskie, może być uważany za wielkopolski wkład do dialektu kulturalnego.

Gdy nie ma absolutnej pewności, że mazurzenie już wówczas istniało, powyższe wywody mają tylko wartość warunkową, pokazują możliwości i prawdopodobieństwa, są jednak potrzebne, skoro pojawiło się twierdzenie, że nawet gdyby mazurzenie było, to nie było warunków do utrwalenia się wymowy wielkopolskiej. Wszak prof. Dąbrowski był zdania, że poglądy prof. Nitscha i Lehra-Spławińskiego są «w znacznej mierze obce albo wprost nawet przeciwne dzisiejszemu stanowi badań historycznych nad naszym średniowieczem». Prof. zaś Taszycki wzmacnia te słowa: «Czyli że są «w znacznej części» dowolne, innymi słowy bezpodstawne, niepotrzebnie w dyskusję naukową wciągnięte». Nie! ani nie bezpodstawne, ani nie są niepotrzebne. Powiedziałbym, że większa część naszej wiedzy o owych czasach oparta jest na kruchszych podstawach, a jednak przez wszystkich jest uznawana.

¹⁾ Przykłady na czeskie *u*, jak i inne przykłady czeskiej mody, spotyka się po kronikach, rocznikach i dyplomach, por. np. u Gala *Sutok*, *Sudomiria*, *Vratislavia* zam. *Santok*, *Sandomiria*, *Vrotislavia*. Należy je chyba interpretować nie jako nieudolność ortograficzną czy nieznamość rodzimej praktyki ortograficznej, ale jako dowód silenia się na polszczyznę «lepszą», bo bliższą czeskiego.

Prof. Milewski nazywa koncepcję wielkopolskiego pochodzenia dialektu kulturalnego koncepcją arystokratyczną¹⁾, z tej racji, że punktem wyjścia był dwór i wyższe duchowieństwo. Natomiast koncepcja małopolska byłaby demokratyczną, jako że język całego małopolskiego społeczeństwa powoli się przekształcał na dialekt kulturalny. Jest to pogląd zbyt uproszczony: przecież w Wielkopolsce wymowa niemazurząca była powszechna i w tym sensie demokratyczna, a dopiero na gruncie mazurzącym nabrała charakteru «arystokratycznego» o tyle, że była właściwa tylko najwyższym warstwom społecznym. Zresztą ewentualna «arystokratyczność» wielkopolskiej wymowy nie jej szkodzić nie mogła. Zauważmy w tym miejscu, że społeczeństwo polskie zaczyna się w XI w. wyraźnie różnicować. Ponad przeciętność zaczynają się wybijać poszczególne rody, jednym słowem wykształca się ustrój feudalny. Wyodrębnienie się językowe jest w tym stanie rzeczy okolicznością pożądaną. Ambitny pan odróżniał się od społeczeństwa nie tylko bogatszym strojem, ale i mową. Próżność ludzka nie od dziś jest podniętą do pielęgnacji języka.

Przeciwnicy wielkopolskiej koncepcji podnoszą i to, że Kraków był stolicą państwa. Oczywiście, jednakże jego powaga językowa, gdyby mazurzył, byłaby zachwiana przez zgodność wymowy wielkopolskiej z czeską i ruską. To jedno. Po wtóre, książe stosunkowo mało czasu spędzał w stolicy. Stałych podróży wymagała potrzeba dopilnowania administracji, książe był sędzią, swoje uprawnienia wykonywał osobiście nawet w odległych punktach kraju. Podróży wymagało też wyżywienie dworu. Gospodarka była w małym stopniu pieniężna, dochody księcia przeważnie wyrażały się w zbożu, mięsie, miodzie, skórach itp. Dowożenie danin do stolicy było w ówczesnym systemie komunikacyjnym niemożliwe, daleko łatwiej było dowieźć dwór, aby w stosownym miejscu skonsumował zapasy. Gdy więc czytamy, że Poznań, Płock lub Kraków był stolicą, to winniśmy pamiętać, że były to tylko grody, w których księżęta przebywali wprawdzie najdłużej i najczęściej, lecz nie «na stałe». Na podstawie zapisek kronikarskich i dokumentów wystawionych przez władców możemy ułożyć ich zawiłe itineraria. Wiadomo np., że Kazimierz W. co roku dłuższy czas spędzał w Wielkopolsce (wraz z całą kancelarią). Wśród takich podróży, szczególnie na rozprawach sądowych była sposobność demonstrowania «lepszej wymowy»²⁾. Podział Polski na dzielnice pomnożył liczbę dworów i kontakt ze społeczeństwem poszerzył.

¹⁾ T. Milewski: Genealogia społeczna polskiego języka literackiego. Wiedza i Życie XIX, 1950, 262.

²⁾ Księga Henrykowska (r. 1271) pisze: «...zdarzyło się, że książe pan Bolesław odbywał na polach uroczysty generalny wiec. Na tym wiecu zasiadał także Władysław, książe z Opola, i zgromadziła się tam cała ziemia: bogaci i ubodzy...». Ścisłoby taki, że zagrażał życiu ludzkiemu, a ustawy upominały kobiety, aby się niepotrzebnie nie cisnęły.

W XIII w. rozrasta się nowy czynnik wielkiej wagi, mianowicie szkoła. Jakieś nauczanie musiało w Polsce istnieć od samego początku chrześcijaństwa, mało przecież prawdopodobne, aby brano do służby kościelnej ludzi, że się tak wyrażę, z ulicy, albo żeby wysyłano na studia za granicę chłopców bez żadnego przeszkolenia na miejscu. A już przecież w XI w. dochodzą Polacy do godności biskupich (Suła-Lambert, Stanisław Szczepanowski), nie brakło ich chyba wśród duchowieństwa średniego niższego. Nauczanie z czasem zostało zorganizowane w formie szkół, a na w. XIII przypada ich ilościowy i jakościowy rozrost. Uczono w szkołach, jak przedtem w nauczaniu niezorganizowanym, oczywiście łaciny; język polski nie był przedmiotem osobnego nauczania, jednakże jako pomocniczy był on niezbędny. Nie można się było bez niego obejść we wcześniejszym stadium przy objaśnianiu tekstów łacińskich. Mówiło się po polsku o różnych sprawach związanych z życiem kościelnym i religijnym, mamy przecież słownictwo religijne z najdawniejszego okresu chrześcijaństwa. Przełożono chyba jakieś modlitwy i formuły. Jeżeli je przełożyło niemieckie duchowieństwo w diecezji salzburskiej, dziwne by było, gdyby inaczej postępowało duchowieństwo w Polsce¹⁾. Te zaczątki dialektu kulturalnego krzepły i rosły dzięki powstaniu w XIII w. szkół parafialnych po miasteczkach, a najpóźniej w XIV w. także już po wsiach. Niektórzy możnowładcy utrzymywali u siebie osobnych notariuszy, kapelanów, którzy też zapewne uczyli dzieci gospodarzy. W 1. połowie XIV w. pojawiają się w dokumentach ludzie świeccy, umiejący pisać, nie tylko mieszczanie, ale też szlachta.

Choć język polski był w nauczaniu tylko pomocniczym, zajmował pomimo wszystko pozycję poważną. Wyszło to na jaw wyraźnie w związku z atakiem Niemczyzny na szkołę. Koloniści niemieccy, silniejsi gospodarzo od ludności polskiej, chętnie widzieli niemieckich nauczycieli, o których było łatwo, ponieważ waganci przepędzani w Niemczech szukali w Polsce schronienia i zarobku. Obronna reakcja przyszła bardzo prędko. Już w 1257 r. synod polskiego duchowieństwa wystąpił z zastrzeżeniami, a uchwały synodów z r. 1285 i 1287 stawiają sprawę bardzo twardo:

«Postanowiliśmy dla zachowania i dla poparcia języka polskiego; by w poszczególnych szkołach katedralnych i klasztornych byli wyznaczani tylko tacy magistrzy, którzy doskonale znają język polski, by mogli chłopcom objaśniać autorów w polskim języku» (Łęczyca 1285).

¹⁾ A. V. Isačenko: Zčiatky vzdelanosti vo vel'komoravskej riši. Príspevok k dejinám západoslovenského písomníctva predcyrylometodejského. Turč. sv. Martin 1948. — Kto wie, czy te podstawowe modlitwy i formuły nie kursowały w Polsce w języku czeskim, stopniowo dostosowując się do polszczyzny. To by tłumaczyło, dlaczego tyle w nich jeszcze w XV wieku czechizmów.

«Postanawiamy, by wszyscy zarządcy kościołów i proboszcze oraz inni przełożeni w obrębie wszystkich diecezji polskiego narodu ... mając sobie przez biskupów powierzone szkoły, nie ustanawiali Niemców, chyba że są dostatecznie przygotowani w zakresie polszczyzny, by wykładać chłopcom autorów i łacinę w języku polskim» (rok 1287).

Zarządzono też, aby każdy proboszcz co niedzielę wyłożył symbol wiary, modlitwę Pańską i pozdrowienie anielskie. Zalecano ponadto modlitwę za ojczyznę, a nawet dla czujących się na sile — kazanie¹⁾. Ustawy nie stwarzają nowych faktów, bronią jedynie stanu posiadania.

Trudno sobie wyobrazić, aby szkoła zupełnie się tym nie interesowała, jaka jest ta polszczyzna, której się używa i której się broni. Oczywiście, wśród uczących nie brakło Niemców, język polski kaleczących, ale też chyba nie oni nadawali ton, tylko najlepsi z polskich nauczycieli. Musiano przy tłumaczeniach zwracać uwagę na dobór słów, co do czego wytwarzała się szkolna tradycja, ale pewnie też sposób wymawiania nie był obojętny. Przy zetknięciu się nauczycieli i uczniów z różnych stron zagadnienie wymowy mazurzącej narzucało się przed innymi. Nie chcę przez to twierdzić, że automatycznie wszyscy, co przeszli przez szkołę, nauczyli się wymowy niemazurzącej, jeżeli przedtem mazurzyli, bądź co bądź jednak pewna część tę sztukę opanowała, a reszta wynosiła przy najmniej ambicje wyróżniania się też mową od ludzi nie wykształconych.

W w. XI i XII, kiedy zastęp duchowieństwa był szczupły, utrzymanie jednolitości dialektu kulturalnego nie było trudne. Duża część duchownych przebywała stale na dworze księcia. Uderza np. fakt, że nawet w awanturniczej wyprawie Krzywoustego do Czech brali udział biskupi. Podobnie biskup płocki towarzyszy wielkorządcy Mazowsza, Magnusowi, w pościgu za Pomorzanami «przyodziany w infułę kapłańską». W owym czasie nie można było mówić o przeciwstawieniu dialektu dworskiego i kościelnego. Względna spójność państwa przez 150 lat do podziałów Krzywoustego przyczyniała się do wyrównywania różnic językowych, w tych oczywiście kręgach, które w ogólnym państwowym życiu brały udział. Podział państwa na dzielnice złuznił spójność, ale wydzieranie sobie dzielnic przez książąt, nowe konfiguracje ziem przez spadek uniemożliwiały wytwarzanie się odrębnych zespołów kulturalnych i językowych. W XIII w. gdy zesłały więzy zespalające całe społeczeństwo, gdy trwała kolonizacja na prawie niemieckim, gdy mnożyły się szkoły, groziło rozbitcie, były jednak czynniki, które łagodziły skutki rozbitcia politycznego. Jednym z nich było rozrzucenie osad poszczególnych rodów po całej Polsce. Bardzo od tej strony pouczająca jest mapa rozmieszczenia posiadłości rodu Awdańców, który miał wielkie znaczenie w XI i XII w.

¹⁾ Cytaty za R. Grodeckim: Powstanie polskiej świadomości narodowej. Katowice 1945, s. 27.

Awdańcy pochodzili z południowej Wielkopolski, ale bardzo wczesnie doszli do majątków nad Dłubnią w pobliżu Krakowa. Było to jak gdyby *pied à terre* tych możnowładców w pobliżu stolicy¹⁾. Nie jest to obojętny fakt dla historii wymowy niemazurzącej na książęcym dworze. Mniejsze znaczenie, ale przecież pewne znaczenie, przypisuję rozrzuceniu w różnych stronach majątków klasztornych. Wielką natomiast rolę odegrał osobliwy podział Polski na kościelne diecezje.

Jak widać z załączonej mapki, która wprawdzie dotyczy stosunków za Kazimierza W., ale może być użyta także dla w. XII, osobliwe ukształtowanie mają dwie diecezje wielkopolskie. Diecezja gnieźnieńska ciągnie się wydłużonym pasem od Pomorza aż poza środkową Pilicę, dochodząc pod samą Częstochowę i Kielce. Należy też do niej mała enklawa na pograniczu wielkopolsko-śląskim w okolicy Milicza, który wymienia bulla gnieźnieńska jako własność biskupa gnieźnieńskiego. Skutkiem takiego układu granic całe mazurzące Sieradzkie i Łęczyckie wchodzi w zależność od Gniezna, położonego na niemazurzącym terenie. Diecezja znów poznańska posiada archidiakonat czerski, w którym leży Warszawa. Diecezja plocka obejmuje archidiakonatem dobrzyńskim kraj niemazurzący. Ten niezmiernie interesujący układ granic pociągał za sobą krążenie duchowieństwa: mazurzący chłopcy szli do szkół katedralnych w Poznaniu i Gnieźnie, gdzie się mogli zapoznać z wymową niemazurzącą, księża Wielkopolanie przechodzili na wybitniejsze stanowiska na Mazowszu. Łatwo sobie wyobrazić, że Wielkopolanin swoją wymowę wszędzie zatrzymywał, ale Małopolanin lub Mazur swoją porzucał. Nic też przy takiej organizacji kościelnej dziwnego, że pisarze sądowi na Mazowszu działający umieli na ogół wystrzegać się mazurzenia.

Połączenie dzielnic przez Łokietka, zwłaszcza zaś wzmocnienie organizacji państwowej i stabilizacja stosunków za Kazimierza W. stwarzają dla rozwoju dialektu kulturalnego i pierwocin literackiego warunki znacznie korzystniejsze. Dość długie okresy pokoju, bezpieczeństwo wewnętrzne podnoszą narodowe bogactwo, za czym idzie rozwój szkół, wzrost oświaty. Właśnie za Kazimierza W. powstał odpis Kazań świętokrzyskich, gdzie znajdujemy wielkopolski spójnik *iże* , choć pisarz był pewnie Małopolaninem (ale z północy, więc może z diecezji gnieźnieńskiej). Na koniec rządów Łokietka i na rządy Kazimierza przypada masowe pojawienie się wielkopolskiego przyrostka *-sko* w dokumentach dotyczących Małopolski w miejsce właściwego dawniej tej dzielnicy przyrostka *-sk* . Miał widać zwyczaj wielkopolski jakiś autorytet w kancelarii królewskiej. Czy nie położyć tego na karb sposobu wyrażania się samego Łokietka i Kazimierza W., którzy pochodzili z linii kujawskiej Piastów, a więc związanej z terenem niemazurzącym, językowo w zasadzie wielkopolskim? I w ogóle,

¹⁾ W. Semkowicz: Ród Awdańców. Roczniki T. P. N. w Poznaniu t. 44—6.



jak mówili Piastowie w XIII i XIV w.? Inną przyczyną powagi dialektu wielkopolskiego w kancelarii królewskiej mógł być wysoki poziom kancelarii Przemysła II.

Byłoby rzeczą bardzo interesującą i ważną wiedzieć, jaka też mogła być pod koniec rządów Kazimierza W. liczba ludzi, mających ambicje posługiwania się dialektem kulturalnym. Jest to zagadnienie dotąd nie opracowywane i trudne do rozwiązania, ponieważ źródła mamy bardzo mało. Z ludzi świeckich wchodziła tu pewnie znaczna liczba urzędników, jak się można domyślać z tego, że w procesie z Krzyżakami w r. 1339 na 7 urzędników (wojewodów, starostów) dwóch umie po łacinie. Część urzędników musi pewnie odpaść, ale na ich miejsce można wziąć pewną ilość członków możnowładczych rodów, choćby aktualnie nie piastowali żadnego urzędu. Do warstwy kulturalnej można też zaliczyć dużą część kleru. Jego poziom był nierówny, bądź co bądź jednak wszyscy księża świadkujący na wspomnianym procesie umieją po łacinie, a jest ich 43. Na 28 mieszczan zna łacinę 8, czyli stan mieszczański szlachtę w oświacie wyprzedzał. Póki żywił niemiecki był po miastach silny, oświata mieszczan nie miała dla pozycji dialektu kulturalnego większego znaczenia, gdy się jednak mieszczenie zaczęli w XV w. intensywnie polszczyć, poważnie wzmocnili zastęp nosicieli dialektu kulturalnego. Spośród nich wyjdzie Opeć, Jan z Koszyc, Biernat z Lublina.

Gdy mowa o mieszczanach, pora na kilka jeszcze słów o roli Krakowa. Przyjęło się akcentować jego wielką rolę w rozwoju języka, czy słusznie? Rozważyć trzeba, jaki był jego skład etniczny. Przyznać musimy, że w XIV i XV wieku element niemiecki był bardzo silny. Bez względu na to, jak określimy jego liczebność, nie ulega wątpliwości, że warstwą w mieście rządzącą, bogatą i w oświacie przodującą byli Niemcy. Świadectwem tej ich przewagi są urzędowe księgi miejskie, gdzie tak wielką rolę odgrywa język niemiecki. Napływ Niemców nie ustawał, wystarczy w tym związku wspomnieć drukarzy. Przez miasto przewijało się oczywiście mnóstwo Polaków, nie tylko chłopów z okolicy, ale szlachty i magnaterii. Ta jednak napływała — jak to w stolicy bywa — ze wszystkich stron państwa. Nie miał więc w tych kołach dialekt podkrakowski osobliwej przewagi. I dziś w Warszawie mowa proletariatu w słabym stopniu wpływa na rozwój języka kulturalnego. Jeżeli się Niemcy krakowscy polszczyli, to zapewne nie szli jedną drogą: ubożsi przejmowali język polski od najemników, przenikających ze wsi, a więc mówiących dialektem; warstwa górna, bogata i pretensjonalna, starała się przejąć język dworu i wyższego kleru, z którym bez wątpienia pozostawała w dość ścisłym kontakcie (por. częste pożyczki udzielane przez mieszczan królowi). Takie same ambicje mieli chyba profesorzy uniwersytetu. W ten sposób istotnie urabiał się w Krakowie sposób mówienia uznawany za lepszy, ale nie był to po prostu okoliczny dialekt podkrakowski. Składników małopolskich w nim oczywiście nie brakowało, ale też nie brakowało innych,

mianowicie wielkopolskich, które omawiałem w poprzednim numerze JP. Taki układ stosunków, a nie dopiero przeniesienie dialektu kulturalnego wraz ze stolicą do Warszawy uczyniło zeń «twór ponaddialektyczny» (słowa prof. Milewskiego, o. c., s. 270). Początkiem było przeniesienie dworu z Poznania do Krakowa, w Krakowie zaś w XIV i XV w. doszło do znacznego powiększenia norm i wyrobienia języka.

Z tym ponaddialektycznym tworem zetknęli się w Krakowie, jako studenci, Opeć, Jan z Koszyc, Sandecki, Biernat z Lublina, Glaber i inni, tłumacze, modernizatorzy starych tekstów, korektorzy, «biedacy twardo walczący z życiem», jak o nich nieco agitacyjnie mówi prof. Milewski (o. c., s. 297), ale w drukach starali się o taki język, jaki poznali w czasie studiów, mylny zaś jest pogląd, że oni go dopiero tworzyli. Sami z siebie nie mieliby przecież żadnego autorytetu.

Spróbujmy podjąć niewdzięczne zadanie cyfrowego oszacowania członków warstwy kulturalnej w połowie XIV w. Z. Kaczmarczyk wylicza około 230 stanowisk urzędniczych, czyli, jakbyśmy dziś powiedzieli, «posad» (pomijam żupników itp. jako na ogół nie Polaków). Do tego można jeszcze dorzucić kilkudziesięciu sędziów i podsędków. Niektóre stanowiska były dublowane, notariuszy królewskich — pozycja ważna — bywało kilkunastu naraz. Ostatecznie można by przyjąć około 300 «posad». Część z tego znajdowała się bez wątpienia w rękach ludzi prymitywnych, lecz za to rekompensatę stanowią kulturalni ludzie nie zajmujący żadnych stanowisk. Liczebność kleru dałaby się pewnie bliżej określić. Organizacja parafialna była już zasadniczo gotowa. Na samym Śląsku miało parafii być około 700, tu jednak duża część była w rękach Niemców. Diecezja krakowska (bez części śląskiej) liczyła około 500 parafii ¹⁾. Pozostałe diecezje liczyły chyba razem więcej niż krakowska, czyli nie będzie przesady, gdy się powie, że wraz z częścią śląskich około 2 tysiące parafii było w rękach polskich księży. Doliczyć by jeszcze trzeba niemożliwą do określenia ilość wikariuszy, duchowieństwa katedralnego, klasztornego (tylko Polaków); dojdzie się wtedy może do 2500 duchownych, a wraz z świeckimi do 3 tysięcy ludzi przynależnych do warstwy kulturalnej. (Ale mazurzenia nie znała cała ludność Wielkopolski, Kujaw i Pomorza). Liczba ta rosła z każdym rokiem. Według Karbowiaka ²⁾ w pierwszych dziesiątkach XV wieku było w szkołach więcej chłopców pochodzenia szlacheckiego niż mieszczańskiego, czyli stosunki uległy w ciągu 2. połowy XIV wieku dokładnej zmianie. Można by więc liczbę ludzi ze szkolnym wykształceniem szacować

¹⁾ Por. Z. Kaczmarczyka *Monarchia Kazimierza Wielkiego*, II s. 79—80. Z tego dzieła przejęta reprodukowana wyżej mapka (po uproszczeniu).

²⁾ A. Karbowiak: *Dzieje wychowania i szkół w Polsce w wiekach średnich*. II. s. 398. Tenże autor informuje, że pod koniec XV w. szkoły były przepelnione; z miast przelewała się młodzież do szkół wiejskich, chłopów zaś ustawowo odsuwano od szkół.

wtedy na jakie 5 tysięcy. Według A. Wolffa¹⁾ w zapiskach sądowych warszawskich w ciągu 1 pokolenia XV wieku można rozpoznać przeszło 30 rąk. Jeżeli tak było w ośrodku dość prowincjonalnym, to w całej Polsce piszących naprawdę musiało być dobrych parę tysięcy. Ci to skromni mazowieccy pisarkowie umieli na ogół unikać w piśmie mazurzenia, usunęli koło r. 1460 spójnik *eż* na rzecz *iż*, nieco później usunęli z pisma wywołanie *reno*, *jebtko*. Wyraźny to znak dążenia do lepszego języka²⁾.

Pomimo wszystko koła ludzi przynależnych językowo do warstwy kulturalnej były nawet pod koniec XV w. i z początkiem XVI w. szczupłe z drugiej strony trzeba wszakże pamiętać o tym, że były one szczupłe do niedawna. Przed 1. wojną światową nie znali dialektu kulturalnego prawie wszyscy chłopci, czyli 70% narodu, z ludności zaś miejskiej także tylko mniejsza część posługiwała się dialektem kulturalnym. Gdy się cofniemy na koniec XVIII w., sytuacja będzie jeszcze smutniejsza. Miasta nie odgrywały prawie żadnej roli, w znacznej części nie były polskie z mowy, ze szlachty zaś również tylko część może być zaliczona do warstwy kulturalnej. Mazowiecka szlachta zaściankowa jeszcze w XX w. mazurzyła, chyba gorzej a nie lepiej było w w. XVIII. Gdy zważymy, że całą ludność szlachecką ocenia się wówczas na 8% (w tym zaściankowców 4,5%), to dopiero wtedy widzimy, jak szczupłe były podstawy społeczne języka literackiego³⁾. Sądzę, że od połowy XVII w. utrzymywały się na ogół bez zmian, natomiast do wojen szwedzkich trzeba się liczyć ze wzrostem ilościowym dialektu kulturalnego, z czego wynika, że

¹⁾ Wolff—Kuraszkiewicz: Zapiski sądowe warszawskie (w druku).

²⁾ Uznaje to i prof. Taszycki: «...formy z *re* w wyjątkowych tylko razach dostały się do średniowiecznych dokumentów i późniejszych pism oraz druków rozmaitych. Weszły w nie niejako chyłkiem, jak gdyby przez nieuwagę lub niewyrobienie językowe pisarzy, którzy się ich w gruncie rzeczy wypierali». (Przejście *ra* \Rightarrow *re*, s. 7).

³⁾ Zob. Korzon: Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta, wyd 2., s. 320 i tabela do s. 320. Zdaniem tego autora «zbiornikiem czynnej siły politycznej były tylko: szlachta zamożniejsza i wykształcenijsza, duchowieństwo katolickie i po części unickie oraz wyższa warstwa mieszczańska z większych miast królewskich. Wszystkie te grupy utworzą razem ... ze 180.000 mężów, oprócz starców zgrzybiałych i dzieci» (s. 322). Byłoby to około 2% ludności. Ludność Polski za Kazimierza W. szacuje się w granicach od 800.000 do 1.400.000, od tego zaś policzone 2% dawałoby 16.000—28.000. W rzeczywistości liczba kulturalnie rozbudzonej ludności musiała być niższa, piszących chyba nie było więcej jak 3 tysiące. Jedno widać z cyfr: zasięg społeczny języka literackiego był w ustroju feudalnym bardzo ograniczony. Od przywiązania chłopów do gleby zasięg nie rósł, a z upadkiem miast zaczął z pewnością maleć. Nawet jednak te skromne podstawy ludnościowe wystarczały do utrzymania i rozwijania języka literackiego. W innych krajach nie było lepiej. — Jak ogromna musiała być różnica między mową nawet kulturalnego szlachcica spod Krakowa, Poznania, Warszawy, Nowogródka i Humania! Pismo ukrywało większość tych różnic. Ale w XVI w., przed ekspansją na wschód, mowa szlachty była bardziej jednolita.

nawet w złotym okresie literatury polskiej zakorzenienie się dialektu kulturalnego w społeczeństwie było słabe, i to tłumaczy, dlaczego w 2. poł. XVII i w XVIII w. tyle się pojawia dialektyzmów. W 2. poł. XVI wieku zastęp ludzi władających dialektem kulturalnym był bardzo szczupły, byli oni jednak dość skupieni koło dworu królewskiego, dworów magnackich na tamym się wzorujących i przede wszystkim w Krakowie. To ułatwiało utrzymanie jakiejś takiej jednolitości języka literackiego.

Wynalazek druku w dwojaki sposób zaznaczył swoją potężną rolę. Po pierwsze, gwałtownie powiększył zastęp ludzi czytających, a więc poddających się wpływowi języka literackiego. Zapewne koło połowy XVI w. owe 2% społeczeństwa aktywnego (zob. przypisek 3. na s. 156) nauczyło się czytać i pisać. Po drugie, druki wychodziły z kilku tylko oficyn, a to ogromnie ułatwiło kontrolę nad językiem, tym bardziej, że pracownicy jednej firmy nakładowej przechodzili z czasem do drugiej i na odwrót (por. np. losy Sandeckiego-Maleckiego). Drukarnie teraz usuwały to, co uważały za zjawisko gwarowe. Kto więc porównuje, jak np. prof. Taszycki, znormalizowany zbiorową pracą język druków z językiem rękopisów XV w., porównuje dwie rzeczy jakościowo niewspółmierne. Należy porównywać rękopisy XV w. z rękopisami XVI w., a wtedy się przekonamy, że różnica nie jest wielka. Przykładem mogą być listy Górnickiego, w których się stale pisze *san, pisan, memv*, gdy w Dworzaniu drukuje się *sam, pisan, memu* (w Taszyckiego Wyborze tekstów... s. 68—9). Cóż dopiero mówić o dialektyzmach w listach Anny Wazówny (tamże s. 124—6). Szybki wzrost oświaty musiał nawet przejściowo naruszyć stabilizację języka, używanego dawniej przez małe grono ludzi. Takie właśnie zjawisko zaobserwowano w Czechach¹⁾.

Z mowy ogółu szlachty cechy gwarowe nie znikły, jak zresztą nie znikły z jej rękopiśmiennych wypowiedzi. Np. wymowa *reno, jegoda*, choć w druku należy do rzadkości, spotkała się jeszcze w r. 1610 z naganą udzieloną przez Grochowskiego Danowskiemu i z drwinami w psalmie «mazowieckim»²⁾. Byłoby błędem mniemać, że się dialektyzmy utrzymały tylko w mowie chłopów. Tych się językiem szlachta nie interesowała, tak samo jak się w naszych czasach w dyskusji nad błędami językowymi uwzględnia tylko inteligencję. Właśnie wypowiedzi staropolskich gramatyków wydobyte przez Taszyckiego w jego rozprawie «O dawności mazurzenia»

¹⁾ B. Havránek: Spisovný český jazyk, s. 49.

²⁾ Teksty najłatwiej dostępne w «Wyborze tekstów staropolskich...» Taszyckiego, s. 134. — Mowę szlachty kulturalnej trzeba sobie wyobrażać jak mowę dzisiejszego chłopca, który chce mówić po literacku. W zasadzie mu się to udaje, co pewien czas jednak wymykają mu się dialektyzmy. Ich nasilenie jest u każdego inne. W piśmie. a zwłaszcza w druku łatwo je wytepić.

stanowczo trzeba odnieść do szlachty, i to nawet nie do tej, co siedziała gdzieś w zapadłych dziurach, lecz szlachty biorącej udział w życiu publicznym.

Bez takiej poprawki sprowadziłyby się dawne informacje do absurdu. Np. Decjusz, pisząc w r. 1521 o polskich stosunkach za Zygmunta Starego (współczesnych sobie), twierdzi, że wszyscy Polacy umieją po łacinie: «Polacy umieją po łacinie wszyscy, a poszło to stąd, że w narodowym języku żadnych pism czy dzieł pamięci godnych nie przekazano»¹⁾. Tymczasem wiadomo skąd inąd, że nawet bywali magnaci, co nie mówili po łacinie, faktyczny zaś stan przedstawia Rej bez ogródek: dworzanie i słudzy pańscy nie umieją «ni kęsa po łacinie, jakoż ich dosyć roście, prawie jako świnie». Jak słów Decjusza nie odnosimy do chłopów, tak nie odnośmy do nich także innych świadectw.

Jakżeż jednak z poglądem, że język pisany był ustabilizowany już w XV w., pogodzić przełom językowy, który wedle powszechnego przekonania zaszedł w 1. połowie XVI w.? Co sądzić o skargach ówczesnych na «grubość» starszego języka? Chodzi tu moim zdaniem o dwie rzeczy. Po pierwsze, początkowo do druku szły dawne, XV-wieczne teksty, które z natury trąciły już myszką. Ich słownictwo przeciążone było archaizmami, czechizmami, wyrazami sztucznymi, które w kręgach średniowiecznej szkoły były znane, ale szerzej w społeczeństwie nie zdały się ugruntować. Przykładem może być wyraz *żyrzec*, o którym pisałem w JP XXVIII. Posługiwano się nim w XV w., obok niego używano także wyrazu *starosta wesela*, do nowszych przekładów *żyrzec* się już nie dostał, lecz *starszy* lub *przełożony wesela*. Podobny los spotkał wiele innych słów. Czyszczenie języka powtarza się co pewien czas w związku ze zmianami społecznymi po okresach konserwatyzmu. Dziś bez wątplenia żyjemy w okresie przełomowym, kiedy się usuwa tyle wyrazów, przysłów opartych na łacinie. Można by dzisiejszy okres uznać za początek nowego języka literackiego; nie byłoby to słuszne, podobnie wątpliwa jest słuszność rozpoczynania języka literackiego od 2. połowy XVI wieku.

Po drugie, skargi na «grubość», «nieforemność» związane były z poszerzeniem się funkcji języka literackiego. W w. XV był on pomocniczym językiem religijnym, językiem sądowym, w XVI w. staje się narzędziem walki politycznej (nie tylko, jak dotąd, w mowie) i religijnej. Musi się on naginać do nowych celów. Nie wystarcza mu dawne słownictwo, nie wystarczają konstrukcje słowne. Stawia się też językowi wyższe wymagania stylistyczne, żąda się nowych środków wyrazu. Ma on dorównać

¹⁾ Według Brücknera, Hist. lit. pol. I 70, wyd. 3. Charakterystyczne, że Decjusz pisał to, kiedy już w Krakowie zdażyło wyjść kilka poczytnych druków po polsku. Widocznie w kołach dworskich nie zdażono ich zauważyć.

łacinie¹⁾. Mocno to akcentuje prof. Milewski, gdy o nim mówi, że do połowy XVI w. był dialektem pomocniczym w stosunku do łaciny: posługiwało się nim niższe duchowieństwo, nie umiejące po łacinie, pisano nim tylko rzeczy dla ludu, nie miał zaś wstępu do literatury «wyszej», przede wszystkim teologicznej. Był więc w porównaniu z łaciną funkcyjnie upośledzony. Dopiero polemika religijna poprawiła jego pozycję: «Dzięki działalności protestantów, polski język literacki był około r. 1560 systemem norm dość sprecyzowanych, o dużym prestiżu społecznym. Brakowało jednak wewnętrznego zróżniczkowania, specjalizacji. Nie odróżniano jeszcze języka poezji od języka prozy artystycznej, a tego ostatniego od języka prozy technicznej i codziennej». Stało się to w najbliższych dziesiątkach lat w Krakowie w kołach dworskich (Milewski, o. c., s. 269).

Nasza słaba znajomość języka XVI wieku nie pozwala, moim zdaniem, stanowczo stwierdzić, że nie było przed połową wieku zróżnicowania stylistycznego; sądzę, że było przeciwnie. Bez wątpienia jednak ma sporo racji prof. Milewski, gdy odmawia polszczyźnie równych praw z łaciną. Bez wątpienia też autorytet polszczyzny ogromnie wzrósł w ciągu XVI w., nie znaczy to jednak, że wziął nad łaciną górę i że zapanował we wszystkich funkcjach. W szczególności pozostała łacina językiem naukowym i dopiero w XIX w. z tej roli ostatecznie wyszła, nie od razu nawet ustępując na rzecz języka polskiego, lecz nowoczesnych języków europejskich, ponieważ uczeni się obawiali, że ich dzieła pozostaną światu nie znane, jeżeli się je ogłosi po polsku. Wzgląd właśnie na szerokość oddziaływania zawsze utrudniał funkcyjny rozrost naszego języka literackiego. Ale nie zapominajmy, że i twórczość artystyczna w języku łacińskim była w XVI w. bardzo poważna, czyli nawet od tej strony był język polski wobec łaciny jeszcze upośledzony.

Być może jednak, że funkcyjny wzrost języka literackiego tak był koło połowy XVI w. istotny, że uznamy ten czas za przełomowy. Być może skłoni to z kolei specjalistów do poglądu, że od tej pory dopiero należy datować początek języka literackiego. Taki punkt widzenia o tyle byłby możliwy, że obok normy językowej funkcja, jaką język literacki spełnia, jest jego istotną cechą. Nacisk położony przez prof. Milewskiego na funkcyjną stronę języka literackiego uważam za dużo szczęśliwszy²⁾ niż nacisk

1) Analogiczne zjawisko zachodziło w Czechach, choć tam język literacki stał na wysokim poziomie, por. Havránek, o. c., s. 49 i nast.

2) Już po wydrukowaniu poprzedniej części mojego artykułu zorientowałem się, że końcowe zdanie w polemice z prof. Milewskim (s. 106), gdzie zwracam się do jego czytelników, wykracza poza zwyczajowe zasady polemiczne. Wyrażam mu z tego powodu należne ubolewanie, nie miałem bowiem zamiaru obniżyć zaufania do skądinąd cennych jego publikacji. Być może, iż prof. Milewski, pisząc na s. 265—6 o posługiwaniu się w zabytkach religijnych XV w. sformowanymi wcześniej dialektami kultu-

na stronę artystyczną, broniony przez prof. Taszyckiego. Względ tedy na funkcję, być może, skłoni w przyszłości do datowania początków języka literackiego na 2. połowę XVI wieku, czyli przyzna rację prof. Taszyckiemu i Milewskiemu, a nie ich przeciwnikom ze mną łącznie.

Zwycięstwo jednak, gdyby — w co wątpię — od tej strony przyszło, będzie pozorne. W gruncie rzeczy chodzić będzie o dwa różne punkty widzenia. Gdy bowiem prof. Nitsch, Lehr-Splawiński, także Brückner, dopatrywali się początków języka literackiego, a zwłaszcza dialektu literackiego wcześniej i wiązali go (pierwsi dwaj) z Wielkopolską, to mieli na myśli system fonetyczno-fleksyjny. Prof. zaś Milewski kładzie nacisk na funkcję. Każdy z obozów odpowiada więc na inne pytanie. Także prof. Taszycki, gdy się opiera na jakoby zbyt niskim poziomie artystycznym utworów XV i 1. połowy XVI w., nie odpowiada na to pytanie, co zwolennicy Wielkopolski.

Dyskusja nad ustaleniem początków języka literackiego jest trudna ze względów teoretycznych, brak bowiem ogólnie przyjętej definicji języka literackiego, a w ogóle wątpliwe, czy się da ukuć taką, co by była prawdziwa we wszystkich czasach i miejscach. Do tych trudności teoretycznych dołączają się trudności materialne. Za mało mamy zabytków staropolskiej literatury, a i te za mało są zbadane. Dalej, rozwój polszczyzny pisanej jest ciągły. Ilość norm wzrastała stopniowo, nie wiadomo, od ilu wolno mówić o języku literackim. Stopniowo też wzrastały funkcje języka pisanego. Dlatego jestem za tym, aby za początek języka literackiego uznać początki pisania po polsku; jest to stanowisko wolne od subiektywizmu w doborze kryteriów. Wreszcie, jak z tego artykułu widać, za mało znamy społeczną podbudowę dialektu kulturalnego w wiekach średnich. Może zamówienie społeczne ze strony językoznawców, którym tego rodzaju wiadomości są niezbędnie potrzebne, zachęci historyków do specjalnych studiów. Językoznawcy ze swojej strony dokładniej zapoznają się z historią norm językowych. Z zespolenia wyników otrzymamy dokładniejszą i pewniejszą odpowiedź na nurtujące nas wątpliwości, niż to możemy mieć dzisiaj. Nie ulega jednak wątpliwości, że dyskusja, którą prowadzimy, znacznie się przyczyniła do wyjaśnienia tak trudnego i skomplikowanego pytania, jak pytanie o początki języka literackiego.

S. Urbańczyk.

ralnymi, nie zgodziłby się na nazwanie tego stadium dialektami literackimi, natomiast i dla tego stadium podtrzymałby mniej wiążący termin «dialekt kulturalny». Termin «dialekt literacki» wprowadziłem ja sam, sądząc, że najwłaściwiej ów stan XV-wieczny nazywa, co oczywiście może być przedmiotem dyskusji.

Uwagi o pochodzeniu polskiego języka literackiego

W dyskusji nad pochodzeniem polskiego języka literackiego walczą dziś z sobą, jak wiadomo, dwa poglądy. Teorię «wielkopolską» reprezentuje przede wszystkim jej twórca, K. Nitsch, a ponadto Z. Klemensiewicz, T. Lehr-Spławiński oraz S. Urbańczyk, gdy «małopolskiej» broni nadal H. Ułaszyn, najenergiczniej popiera ją W. Taszycki. W tym artykule postaram się naświetlić problem nieco inaczej niż zwolennicy obu tych znanych teorii.

Gdy weźmiemy pod uwagę jednolity już w zasadzie język literacki XVI wieku (zwłaszcza jego drugiej połowy), znajdziemy w nim niewątpliwie pewne cechy zgodne z ówczesnym lub nieco dawniejszym stanem dialektu wielkopolskiego obok innych, zgodnych z ówczesnym lub nieco dawniejszym stanem dialektu małopolskiego.

Za cechy zgodne z dialektem wielkopolskim można uważać:

1. brak mazurzenia, 2. brak małopolskiego *k* z dawnego *ch* na końcu wyrazu lub przed spółgłoską, 3. typ *chwała*, *chwila*, 4. przyrostek toponomastyczny *-sko* (*Połocko* etc.), 5. spójnik *iz(e)*, 6. wyraz *trzymać*, 7. typ nosówek ¹⁾.

Że cechy 3, 4, 5, 6 przedostały się do języka literackiego z dialektu wielkopolskiego, to można uważać za udowodnione po pracach Nieminena, Rosponda i Taszyckiego. Do tej powszechnie już znanej listy dorzucić jeszcze wypada 8. typ czasu przeszłego *byłem*, *miałem* a nie *bytech*, *miałtech* (południową polskość tego drugiego już także dla XVI w. wykazał Taszycki) i 9. *uérzał*, *wyérzał* a nie *uérał*, *wyérał*, jak już w XV wieku mówiono w Małopolsce.

Za cechy łączące polski język literacki XVI wieku z dialektem małopolskim uznaje się dziś powszechnie:

1. końcówki i przyrostki z *-ow-*, *-ów-* zarówno po twardej jak i po miękkiej spółgłosce, 2. typ *prak*, *rano*, *jagoda*, *jaki*, 3. brak typu *domk*, gen. plur. *žonk*. Trzeba tu jeszcze dodać 4. formy *bać się*, *stać*, bo Wielkopolska z wyjątkiem południa ma *bojać się*, *stojąć*, 5. formy ściągnięte *zna*, *gra*, gdy w Wielkopolsce do dziś trzymają się formy nieściągnięte *znaje*, *graje*. Oprócz odkrytych przez siebie dawnych zgodności spod 2. i 3. wskazywał Taszycki na rozwój kontynuantu prasłowiańskiego *r* sonantycznego w polskim języku literackim jako cechę małopolską, jednak materiał dowodowy jest tu nikły, a pewne fakty z dzisiejszej dialektologii Małopolski przypuszczenia tego nie popierają.

Z cech łączących język literacki z dialektem wielkopolskim kwestionowany jest najczęściej brak mazurzenia i brak małopolskiego *k* z *ch*.

¹⁾ Sprawa rozwoju nosówek staropolskich nie jest jeszcze dostatecznie wyjaśniona. Ciekawe wyniki pracy M. Pieluszcakówny referowałem na tegorocznym Zjeździe Polskiego Tow. Językoznawczego.

Taszycki, jak dawniej Szober, obie te cechy uważa za późne. Zdaniem jego w czasie powstawania języka literackiego Małopolska jeszcze nie mazurzyła i nie przeprowadziła jeszcze zmiany *ch* na *k*. Sprawie mazurzenia poświęcił T., jak wiadomo, niedawno osobną rozprawę «Dawność mazurzenia w języku polskim». Trudno ją tu szczegółowo omawiać. Najważniejsze argumenty za późnością mazurzenia to stwierdzenie, że 1. w dawnych mazowieckich nazwach miejscowych przyrostek *-ew-* występuje tylko po etymologicznych *sz, ż*, gdy po dawnych *s, z* mamy *-ow-*, 2. że na Mazowszu w XV w. *e* powstałe z dawnego *a* występuje tylko po *sz, ż* nie zaś po *s, z*. Taszycki przyznaje, że oba te fakty mogły być w XV w. przeżytkami, stwierdza jednak słusznie: «wyliczone przykłady dowodzą, że w dobie, kiedy były żywotne, mazurzenie na Mazowszu nie istniało». Niemniej mazurzenie mogło na Mazowszu powstać wcześniej niż to T. przypuszcza. Przecież sam stwierdza, że *e* w mazowieckich nazwach ludowych *Bysewo, Drogosewo* etc. zachowało się po etymologicznym *sz* bez zmiany do dziś, choć to *sz* podług jego własnej hipotezy przeszło na Mazowszu w *s* pięćset lub nawet sześćset lat temu. Jest to więc dziś na Mazowszu oczywisty przeżytek. Ale jeśli taki przeżytek może trwać pięć czy sześć wieków po zaniku przyczyny, która go wywołała, to równie dobrze może ją przeżyć o siedem czy osiem wieków.

Trudno też uznać za udowodnioną tezę Taszyckiego, jakoby w XVI w. w Małopolsce nie mazurono. Na poparcie tej tezy przytacza Taszycki zdanie z gramatyki Stojęńskiego (1568) «*Quod vitium Mazouitis peculiare est et quibusdam mulierculis*» i drugie, że wymowa *ż* «*erratur saepius ab ipsis Polonis*». Jeśli Stojęński pisze, że wymowa *s* zamiast *sz* była właściwa Mazurom i niektórym kobietom, to oczywiście miał tu na myśli kobiety niemazurskie, inaczej słowa «*et quibusdam mulierculis*» byłyby niepotrzebne. A że Stojęński, jak to i T. podkreśla, najbardziej był związany z Małopolską, zapewne więc miał na myśli małopolskie kobiety. Wprawdzie pisze on, że owe «*mulierculae*» tę «*blesitatem ex industria affectant*», ale to nie przeczy dialektycznemu podłożu tego zjawiska. Trubiecki zwrócił już dawno uwagę, że przedrewolucyjne rosyjskie «*mulierculae*» chętnie naśladowały dialektyczną, zdyktongizowaną wymowę akcentowanego *o*. Drugie cytowane zdanie Stojęńskiego odnosić się może najmniej do Mazurów, których w XVI w. jeszcze nie zawsze nazywano Polakami.

Jeśli w XVII w. śmiano się z mazurzenia Mazurów, to dlatego, że na Mazowszu szlachta mówiła tak, jak w Małopolsce chłopci i ludzie nieokrzesani. Zwrócił na to uwagę niedawno Grappin w swojej «*Introduction phonétique à l'étude de la langue polonaise*». Stąd to zdanie o szeptleniu mazowieckim jak chłop.

I inne argumenty Taszyckiego i jego poprzedników nie zdołają nas przekonać, że mazurzenie w Małopolsce powstało dopiero w wieku XVI.

Natomiast głównie ustęp jego omawianej rozprawy dotyczący przyrostków typu *-ow-*, *-ew-* w dawnych mazowieckich nazwach miejscowych skłania nas do przekonania, że mazurzenie powstało w epoce historycznej a nie w przedhistorycznej.

Nie rozprawił się T. z głównym argumentem Nitscha za dawnością mazurzenia, podkreślającym uderzającą zgodność między granicami tego zjawiska a granicami dawnych «ziem» polskich. Ten argument Nitscha odnosi się również do zasięgu zmiany *ch* na *k*. Nasuwają się tu uwagi, na które jednak brak miejsca w tym artykule.

Gdy chodzi o najdawniejsze zmiany *ch* na *k* w polskich zabytkach, to do materiału podanego przez Taszyckiego w zeszlórocznym tomie JP trzeba jeszcze dorzucić hiperpoprawną zapewne formę *wyczech* 'wyciekł' w Żywocie Amandusa z początku XVI wieku oraz w tymże Żywocie formy pisane *wtkore* 'w której' i *stchorym* 'z którym', pozwalające przypuszczać, że pisarz mówił *tkóry*, która to wymowa, jak to wiemy z prac Nitscha, powstała na tle tej samej małopolskiej słabej wymowy *ch*, która była przyczyną zmiany *ch* na *k*. Pisarz Żywota na pewno nie był Małopolaninem, ale nie był też Mazurem (udźwięczniająca fonetyka międzywyrazowa!). Pochodził on być może z Łęczyckiego lub Sieradzkiego, gdzie wymowa *tko*, *tkóry* trzyma się po dziś dzień.

Tak więc materiał historyczny pozwala nam stwierdzić, że małopolska zmiana *ch* na *k* była na pewno przeprowadzona z początku wieku XVI a może i w w. XV. Tak samo prawie na pewno możemy przyjąć, że niewykształceni Małopolanie mazurzyli jeszcze w wieku XVI a zapewne i w w. XV, to znaczy w okresie, kiedy podług Taszyckiego język literacki dopiero się tworzył.

Wróćmy teraz do stwierdzonego na początku tego artykułu faktu, że polski język literacki XVI wieku miał jedne cechy wyraźnie zgodne z dialektem wielkopolskim, inne wyraźnie zgodne z dialektem małopolskim. Jak ten fakt wyjaśnić?

Już w pierwszym swoim artykule o pochodzeniu języka literackiego (JP tom I, r. 1913) wyraził Nitsch przypuszczenie, że wielkopolski brak mazurzenia mógł w Krakowie zwyciężyć dzięki wpływowi tak szanowanej przez średniowiecznych Polaków czeszczyzny. Otóż nasuwa się przypuszczenie, że i w innych wypadkach czeszczyzna odgrywała rolę arbitra w walce o prymat w języku warstw wykształconych, jaka się toczyła między dialektami wielkopolskim i małopolskim.

Przypatrzmy się następującej tabeli:

Wielkopolska	Małopolska	jęz. lit. XVI w.	j. czeski
1. sz, ż, cz	brak sz, ż, cz	sz, ż, cz	š, ž, č
2. -ch	-k	-ch	-ch .
3. chwała etc.	fała etc.	chwała etc.	chvála etc.

Wielkopolska	Małopolska	jęz. lit. XVI w.	j. czeski
4. -sko	-sk	-sko	-sko
5. radło etc.	radło etc.	radło etc.	rádlo etc.
6. -ew- i -ow-	-ow-	-ow-	-ov-
7. byłem	byłech(-k)	byłem	byl jsem
3. uźrzał	uźrał	uźrzał	uzřel
9. stojąc	stać	stać	státi
bojąc się	bać się	bać się	báti se
10. znaje, graje	zna, gra	zna, gra	zná, hrá (hraje)
11. trzymać	dzierżec	trzymać	držeti
12. iż(e)	ež(e)	iž(e)	ež(e).

Widzimy, że w 10 na 12 wypadków z każdego z wchodzących w grę dialektów weszły do języka literackiego cechy zgodne z czeszczyzną. Tylko w zakresie słownictwa wpływ wielkopolski był widocznie tak silny, że mógł wprowadzić do języka literackiego nawet cechy niezgodne z czeskim (*trzymać, ež*). Trzeba przy tym pamiętać, że wpływ czeski nie wprowadził do polskiego języka literackiego ani jednej cechy fonetycznej, której by już w którymś z dwóch wymienionych dialektów nie było. I przypuszczenie Taszyckiego, że Małopolska XVI w. zamieniła dawne swoje *f* na *chw* (*chf*) pod samym tylko wpływem czeskim, musimy odrzucić jako sprzeczne z tym wszystkim, co wiemy o sposobie oddziaływania czeszczyzny na język polski. Tam, gdzie stan czeski był różny zarówno od wielkopolskiego, jak i małopolskiego (np. w sprawie nosówek), czeszczyzna nie miała na terenie polskim — pominawszy poszczególne zapożyczenia wyrazowe — nic do powiedzenia.

O ważności wpływu czeszczyzny na formowanie się polskiego języka literackiego w pierwszej połowie XVI wieku poucza nas np. wydana przez S. Rosponda polemika poprawnościowa między Seklucjanem a Maleckim. Malecki w wypadkach wątpliwych radzi zawsze zaglądać do gramatyki czeskiej Optata, ponieważ «lingua polonica ex lingua Bohemica orta est» i ponieważ «nemo vere ac proprie polonice loqui nescit, nisi Bohemicae linguae non ignarus fuerit». Charakterystyczne przy tym, że Malecki w swojej «Defensio» nie propaguje nigdy form naprawdę czeskich, ale z dwóch jednoznacznych polskich zaleca tę, która jest podobniejsza do odpowiednika czeskiego. Tak więc należy jego zdaniem pisać *krześcianskie* (gen. sing. fem.) a nie *krzescianskiey*; *yenže* (zaimek względny) a nie *ktori*; *Oycza* a nie *Oycza*, bo po czesku mówiono *křesťanské, jenž(e), Utce*.

Na terenie Zakładu Języka Polskiego U. Ł. prowadzimy od paru lat badania nad poszczególnymi problemami związanymi ze sprawą powstania polskiego języka literackiego. Zagadnieniom tym poświęcone są

przede wszystkim gotowe już prace: mgra W. Śmiecha o rozwoju dawnych grup *ś*, *ʒ* i mgr I. Winklerówny o formach *stać*, *bać się* i *stojąc bojąc się* etc. Obie prace zasługują na to, by z ich wynikami zapoznali się ci wszyscy, których interesuje tak pasjonujące zagadnienie genezy polszczyzny literackiej.

Zdzisław Stieber.

Przełom w językoznawstwie radzieckim

Zacieśniająca się po wojnie na wszystkich polach współpraca między nauką polską i radziecką nie rozwijała się dotychczas w sposób pożądaný w zakresie językoznawstwa. Trudności pochodziły stąd, że językoznawstwo radzieckie zostało w ostatnich latach opanowane przez ruchliwą grupę przeważnie młodszych uczonych, uczniów zmarłego w 1934 r. akademika N. J. Marra, którzy nie przebijając w środkach zwalczania przeciwników starali się narzucić ogółowi tamtejszych językoznawców teorie i metody badawcze swojego mistrza, ogłaszając je za jedynie postępowe i realizujące w pełni marksistowsko-leninowskie ujęcie nauki o języku. Ta marrowska tzw. «nowa nauka o języku» («nowoje uczenie o jazykie») napotykała zresztą w Związku Radzieckim na ustawiczną choć głuchą, bo tłumioną wszelkimi sposobami, opozycję, była bowiem zbyt oczywiście pozbawiona realnych podstaw w pozytywnie stwierdzalnych faktach językowych i gubiła się w apriorycznych a zawitych koncepcjach, nie znajdujących oparcia w historycznym rozwoju języków. W tych warunkach współpraca językoznawców polskich z «marrystami» nie mogła mieć widoków powodzenia, a inni językoznawcy radzieccy byli na razie całkowicie głosu pozbawieni. Dopiero w ostatnich miesiącach nastąpił w tym względzie w językoznawstwie radzieckim ze wszech miar pożądaný przełom. Aby ocenić w pełni jego doniosłość, trzeba nam rzucić okiem wstecz na ostatnich lat kilkanaście.

Świetne tradycje językoznawstwa rosyjskiego, mogącego się pochlubić od połowy XIX w. nazwiskami tak znakomitych uczonych jak A. A. Potiebnia, F. F. Fortunatow, A. I. Sobolewski, A. A. Szachmatow — wśród których niepoślednie miejsce zajmowali też Polacy: Jan Baudouin de Courtenay, twórca tzw. kazańskiej szkoły językoznawczej, i Wiktor Porzeziński, następca Fortunatowa na katedrze moskiewskiej, obaj po odzyskaniu niepodległości profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego —, zaczęły blaknąć w latach dwudziestych wskutek wzrastającej przewagi znakomitego skądinąd uczonego akademika N. J. Marra, który dzięki wyjątkowemu talentowi sugestywnego oddziaływania na otoczenie zdobył stopniowo autorytet o wiele przerastający realną wartość jego koncepcji naukowych. Wybitne stanowisko w nauce rosyjskiej zyskał on sobie jeszcze przed Wielką Rewolucją jako doskonały znawca i badacz języków kaukaskich,

później jednak rozszerzając swoje horyzonty badawcze — językoznawcze, historyczne i archeologiczne — także na inne języki i ludy sąsiednie, doszedł najpierw do sformułowania ze wszech miar interesującej teorii o wspólnocie języków tzw. jafetyckich, do których zaliczał prócz silnie zróżnicowanej grupy dzisiejszych języków kaukaskich także wymarły język Etrusków w starożytnej Italii i mowę Basków na Półwyspie Pirenejskim. Ten zespół językowy zajmował w zamierzchłej przeszłości przedhistorycznej — zdaniem Marra — przed rozpowszechnieniem języków indoeuropejskich i semickich cały krąg basenu Morza Śródziemnego i pozostawił liczne ślady w nomenklaturze tych terenów oraz w słownictwie języków, które się z czasem na nich rozprzestrzeniły. Szukając dla tych faktów wyjaśnień ogólnojęzykowych, które by były zgodne z materializmem dialektycznym i historycznym a wolne od idealistycznych — zdaniem jego — koncepcji dotychczasowego językoznawstwa historyczno-porównawczego, uznał Marr ostatecznie przyjmowaną przez siebie wspólnotę językową jafetycką nie za substrat językowy — jak sądził początkowo — ale za starsze stadium rozwojowe języków semickich i indoeuropejskich i zbudował około tej osi skomplikowaną teorię tzw. stadialnego rozwoju języków¹⁾, dążąc do zastąpienia przez nią powszechnie dotąd przyjmowanej koncepcji pokrewieństwa języków opartego na tzw. genealogicznej ich klasyfikacji. Stopniowo rozwinął Marr swoją koncepcję w szczegółowo choć bardzo niejasno rozbudowaną teorię glottogoniczną, ujmującą powstanie i rozwój języka w jednolity dla całej ludzkości system, związany na pozór ściśle z marksowskim schematem rozwoju gospodarczo-społecznego w oparciu o założenie, że język musi być zjawiskiem klasowym o charakterze nadbudowy nad każdoczesną bazą ekonomiczną w życiu społecznym. Te powiązania teoretyczne z marksizmem — choć w istocie całkiem dowolne i pozbawione faktycznych podstaw w rozwoju znanych współcześnie i historycznie języków — zapewniły koncepcjom Marra w krótkim czasie znaczne powodzenie i doprowadziły już przed wojną — szczególnie w kręgach młodszych językoznawców radzieckich — do wytworzenia się przekonania, że marrayzm jest jedyną pełną realizacją zasad marksizmu w dziedzinie badań językowych. Po wojnie napór marrayzmu wzmógł się znacznie, mimo pewnych wahań, które przejawiały się nawet wśród najwybitniejszych uczniów i kontynuatorów Marra z akademikiem I. I. Mieszczaninowem na czele. Dotyczyły one przede wszystkim najbardziej ryzykownego pomysłu doktryny marrowskiej, tzw. analizy paleontologicznej języka, opartej na wyprowadzaniu słownictwa ogółu języków

¹⁾ O marrowskiej teorii stadialności w rozwoju językowym pisał w Języku Polskim przed trzema laty prof. Jerzy Kuryłowicz w artykule pt. «Językoznawstwo rosyjskie ostatniej doby» (Język Polski XXVII, 1947, nr 1, str. 1—7). Nie ma więc tu potrzeby powracać do bliższego jej rozpatrywania.

z czterech podstawowych elementów słownikowych: *sal*, *ber*, *jon* i *rosz*. Przedstawiała się ona tak nieprawdopodobnie, że porzucono ją oficjalnie w uchwale grona pracowników Instytutu Języka i Myślenia Akademii Nauk w 1940 r. Ale większość marrystów poczęła tym energiczniej głosić i propagować teorie swego mistrza, zwalczając coraz namiętniej przeciwników demagogicznymi zarzutami wstecznicstwa, idealizmu, kosmopolityzmu, a nawet sympatii rasistowskich. W takiej atmosferze musiała zamilknąć wszelka dyskusja, ale paralelnie z tym osłabła też bardzo wyraźnie praca naukowa w dziedzinie językoznawstwa, zwłaszcza w dziedzinach wystawionych szczególnie na «obstrzał» ze strony marrystów, jak badania porównawcze i historycznojęzykowe, których ugruntowane dawniej podstawy metodyczne marryzm podważał i burzył systematycznie, choć nie umiał stworzyć nowych w ich miejsce. Kulminacyjnym punktem triumfu marryzmu była uchwała prezydium Akademii Nauk z dnia 21 lipca 1949 r., która uznała tę doktrynę za powszechnie obowiązującą w nauce radzieckiej teorię ujmowania i opracowywania zagadnień językoznawczych. Triumf ten jednakże nie trwał długo. Jednostronność i jawne niedociągnięcia myślowe doktryny marrowskiej oraz tak drastyczne skrępowanie przez marrystów swobodnego rozwoju myśli językoznawczej w nauce radzieckiej musiały doprowadzić w krótkim czasie do przesilenia, które nastąpiło w niespełna rok po uchwale lipcowej.

Przesilenie to zostało zainaugurowane przez otwarcie publicznej dyskusji na temat zastoju w językoznawstwie radzieckim i środków zaradczych przeciw niemu na łamach najpoważniejszego dziennika radzieckiego, moskiewskiej «Prawdy». Dnia 9 maja br. ukazał się tam (nr 129) obszerny (14 pełnych szpalt liczący) artykuł wybitnego znawcy i badacza języków kaukaskich, prof. Uniwersytetu w Tyflisie (Tbilisi) A. S. Czikobawy pt. «O niektórych zagadnieniach językoznawstwa radzieckiego» («O niektórych wprostach sowieckiego jazykoznanija»), w którym autor poddał systematycznej i bardzo wnikliwej krytyce poglądy oraz założenia teoretyczne i metody działania Marra i jego kontynuatorów. Wykazując braki i jawne bezdroża myślowe marrystów — jak przede wszystkim wspomniana wyżej, nieprawdopodobnie wprost brzmiąca teoria czterech elementów słownikowych, do której mimo potępienia z 1940 r. zaczęli powracać z wolna najzacieklejsi z marrystów — położył główny nacisk na fakt rażących niedociągnięć tej doktryny w stosunku do podstawowych koncepcji marksizmu-leninizmu. Godząc się po części na przypisywanie językowi pewnych cech nadbudowy nad bazą ekonomiczno-społeczną, odrzucił jednak stanowczo upatrywanie w języku zjawiska czysto klasowego, podkreślając — za J. Stalinem i innymi klasykami marksizmu — wspólność jego dla ogółu narodu jako powszechnego środka obcowania między ludźmi. W odniesieniu do metod badania i ujmowania rozwoju języka prof. Czikobawa zwrócił się w sposób zde-

cydowany przeciw marrowskiej teorii stadialności i jednolitego procesu glotogonicznego, jako w istocie metafizycznej, nie mającej oparcia w faktach językowych i zmuszającej do szukania wyjścia z trudności w nonsensowej koncepcji czterech elementów początkowych w słownictwie. Uznał natomiast za konieczny powrót do genealogicznej klasyfikacji języków, która na podstawie analizy historyczno-porównawczej ujmuje je w grupy-rodziny, związane wspólnością pochodzenia i budowy gramatycznej, co nie ma żadnego oczywiście związku z podziałem rasowym i rasistycznym pojmowaniem związków między narodami. W obrębie każdej takiej grupy odbywały się rozmaitego rodzaju procesy różnicujące, które prowadziły do wydzielania się z niej grup drobniejszych a dalej pojedynczych języków i narzeczy, współcześnie istniejących. Taką drogą ze wspólnoty, indoeuropejskiej wydzieliły się języki słowiańskie, germańskie, irańskie, celtyckie i inne, ze wspólnoty ugro-fińskiej języki fińskie i ugryjskie, ze wspólnoty iberyjsko-kaukaskiej języki kartwelskie i inne. Tego rodzaju różnicowanie języków nie sprzeciwia się w niczym marksistowsko-leninowskiemu pojmowaniu procesów językowych, a znacznie lepiej wyjaśnia związki pokrewieństwa między językami niż wprowadzana przez Marra teoria krzyżowania języków, nie dająca możliwości jasnego i precyzyjnego ujmowania ich wzajemnych stosunków. Oczywiście teoria genealogicznej klasyfikacji języków opierać się musi na ścisłej historyczno-porównawczej analizie faktów językowych przy pełnym zastosowaniu metody dialektyki materialistycznej bez przymieszki idealistycznego pojmowania zjawisk językowych (wedle Vosslera) czy psychologiczno-socjologicznych koncepcji szkoły pozytywistycznej (De Saussure'a—Meilleta).

Otwarta tym artykułem prof. Czikobawy dyskusja lingwistyczna ciągnęła się na łamach «Prawdy» przez całe dziewięć tygodni, a wzięło w niej udział kilkunastu najwybitniejszych językoznawców radzieckich, wśród których — rzecz charakterystyczna — brakło najbardziej namiętnych i agresywnych do niedawna propagatorów marrayzmu (jak G. P. Sierdichenko, M. M. Guchman, E. A. Bokariew, I. S. Masłow itp.). Z biorących udział w dyskusji nikt nie podjął obrony teorii Marra jako całości, kilku zaledwie (jak akademicy I. I. Mieszczaninow, W. W. Winogradow, a w wyższym jeszcze stopniu prof. N. Czemodanow i F. Filin) starało się podtrzymać niektóre jej punkty widzenia. W ich próbie obrony darmo jednak szukać pozytywnych argumentów na rzecz doktryny Marrowskiej, przeważnie powtarzają oni gołosłowne, wielokrotnie dawniej wysuwane ataki na porównawczo-historyczną metodę badań językowych i na genealogiczną klasyfikację języków, którą wraz z koncepcją prajęzyków uważają za reakcyjną, opartą na burżuazyjnych i idealistycznych przesłankach, podszytych tendencjami rasistowskimi, a powrót do niej ze strony prof. Czikobawy za najlepszy dowód na korzyść słuszności teorii Marra. Większość tych zarzutów polega na

powierzchownej i nie wystarczającej do poważnej dyskusji znajomości wyników badań i ogólnych ujęć językoznawstwa historyczno-porównawczego indoeuropejskiego. Wystarczy przytoczyć tu taki drobny przykład, jak poruszona przez jednego z obrońców marryzmu (F. Filina) sprawę germańskiego pochodzenia wyrazu *buk* w językach słowiańskich: wypowiada on zdanie, że wyraz ten można by równie dobrze uważać za zapożyczony przez Germanów od Słowian i że stoi temu na przeszkodzie tylko «nienaukowe» przekonanie o wyższości kulturalnej dawnych Germanów nad Słowianami! Jeśli ktoś nie zdaje sobie sprawy z tego, że wyraz *buk* wykazuje niewątpliwe cechy rozwoju głosowego germańskiego zarówno w zakresie samogłoskowym ($u \leftarrow \text{germ. } \bar{o} \leftarrow \text{indoeur. } \bar{a}$) jak i spółgłoskowym (tzw. germ. przesuwka spółgłoskowa $k \leftarrow \text{indoeur. } g$) i że gdyby nie był zapożyczonym przez Słowian, musiałby u nich brzmieć **bazz*, to niemożliwa jest z nim wszelka dyskusja na poważnym poziomie. Zupełnie inaczej przedstawiają się wywody przeciwników Marra, którzy, jak prof. L. A. Bułachowski, podnoszą stanowczą wyższość metod wyrobionych przez językoznawstwo historyczno-porównawcze nad jego teoriami, i to zarówno w badaniach nad historią poszczególnych języków, jak nad ich wzajemnymi stosunkami czyli tzw. pokrewieństwem językowym, które jest wynikiem rozlicznych procesów dzielenia i całkowania rozmaitych zespołów i grup językowych w zależności od skomplikowanych procesów historyczno-społecznych, łączących i rozbijających kolejno związki między plemionami, ludami i narodami. Wyniki osiągnięte tymi metodami nie pozostają wcale w sprzeczności z założeniami i ujęciami marksizmu-leninizmu, trzeba tylko spojrzeć na nie bez uprzedzeń i w badaniach trzymać się ściśle rzeczywistości, wystrzegając się zбочzeń w dziedzinę nie dających się metodycznie skontrolować fantastycznych koncepcji.

Rozwijający się tymi drogami coraz żywszy spór między językoznawcami radzieckimi przeciął nagle Józef Stalin, ogłaszając (w numerze 171 z dnia 20 czerwca 1950 r. «Prawdy») artykuł pt. «W sprawie marksizmu w językoznawstwie», który ukazał się także w przekładzie polskim prawie we wszystkich organach naszej prasy. W formie odpowiedzi na pytania postawione mu przez grupę młodszych językoznawców i towarzyszy partyjnych wypowiedział on szereg bardzo doniosłych uwag i poglądów, które rozstrzygnęły zasadnicze punkty sporne i wątpliwości nurtujące językoznawstwo radzieckie lat ostatnich. Stalin — podkreślając, że jako nie-językoznawca nie wdaje się w rozważania naukowo-lingwistyczne — we właściwy sobie jasny i trzeźwy sposób naświetlił sporne zagadnienia z punktu widzenia doktryny marksistowskiej, której jest dziś bez wątpienia najbardziej kompetentnym interpretatorem. Ocena jego, ujęta w formie zwięzłych, lapidarnych odpowiedzi na cztery postawione mu pytania, wypadła dla marryzmu i marrystów wprost druzgocąco.

Na pierwsze dwa pytania, stanowiące punkt wyjścia dla jakoby marksistowskiego ujęcia zagadnienia języka w teorii Marra: czy język jest nadbudową nad bazą ekonomiczno-społeczną? oraz czy jest on zjawiskiem o charakterze klasowym? — odpowiada Stalin stanowczo negatywnie. Język nie jest nadbudową nad bazą, nie jest bowiem «wytworem tej czy innej bazy, dawnej czy nowej, wewnątrz danego społeczeństwa, ale jest wytworem całego przebiegu historii społeczeństwa i historii baz w ciągu stuleci. Nie został on stworzony przez którąkolwiek klasę, lecz przez całe społeczeństwo, przez wszystkie jego klasy, wysiłkiem setek pokoleń. Został stworzony dla zaspokojenia potrzeb nie jakiejś jednej tylko klasy, ale całego społeczeństwa, wszystkich jego klas. Wobec tego użytkowa jego rola nie polega na obsłudze jednej klasy ze szkodą dla innych, ale jako powszechny środek obcowania między ludźmi obsługuje on całe społeczeństwo bez różnicy klas». Nie można więc upatrywać w języku zjawiska klasowego, chociaż istnieją w nim pewne odcienie — dialekty czy żargony — o charakterze klasowym (np. tzw. język «salonowy» czy mieszczański, chłopski czy robotniczy), różniące się między sobą przeważnie tylko pewnymi odrębnymi zwrotami i wyrazami, wynikającymi ze specyficznych warunków życiowych środowiska, które jednak bynajmniej nie naruszają jedności języka ogólnonarodowego.

W odpowiedzi na pytanie: jakie są cechy charakterystyczne języka? — daje Stalin niezwykle wnikliwą charakterystykę języka jako zjawiska społecznego, działającego od początku do końca istnienia społeczeństwa, wskutek czego zrozumienie jego budowy i rozwoju możliwe jest tylko w ścisłym związku z historią społeczeństwa-narodu, który go wytworzył i nim się posługuje. Podkreśla dalej wynikającą stąd nierozdzielność i ciągłość w rozwoju języka, przejawiającą się zarówno w słownictwie, które ulega ustawicznym modyfikacjom i uzupełnieniom, związanym ze zmiennymi potrzebami społeczeństwa, zachowując jednak stale podstawowy zasób wyrazów, stanowiący trzon słownictwa narodowego, — jak w wyższym jeszcze stopniu w budowie gramatycznej, która kształtuje się w ciągu wieków i stanowiąc organiczną, podstawową część języka ulega zmianom jeszcze powolniej niż słownictwo. Ta trwałość i ciągłość rozwojowa materiału językowego wyklucza możliwość nagłych zmian jego jakości — jakby drogą jakiegoś wybuchu — ale dopuszcza jedynie przemiany drogą stopniowego gromadzenia nowych właściwości a obumierania dawnych. Marrowska teoria stadialności, przyjmująca konieczność nagłych wybuchów jako warunku przemian językowych, jest przez to sprzeczna z marksizmem, który nie uznaje nagłych wybuchów w rozwoju języka, ale tylko stopniowe jego przemiany.

Na tym tle upada też marrowska koncepcja krzyżowania się języków jako środek do wyjaśnienia nagłych przemian i nowego kształtowania się wzajemnych stosunków między językami. «Skrzyżowanie języków — mówi Stalin — nie może być traktowane jako jednorazowy akt, cios rozstrzygający, dający wyniki w ciągu kilku lat. Krzyżowanie języków jest długotrwałym procesem trwającym setki lat», który daje w wyniku nie jakiś nowy język, niepodobny do żadnego ze skrzyżowanych, ale przynosi z reguły zwycięstwo jednemu z wchodzących w grę języków. «Zachowuje on wtedy swoją budowę gramatyczną, swój podstawowy zrąb słownictwa i rozwija się w dalszym ciągu zgodnie z wewnętrznymi prawami swojego rozwoju, podczas gdy drugi język traci stopniowo swą jakość i zwolna obumiera». Teoria krzyżowania języków nie może zastąpić badania grup (rodzin) językowych — co Marr odrzuca pogardliwie jako przejawy teorii «prajęzyka» —, nie można bowiem «negować, że pokrewieństwo językowe takich na przykład narodów jak słowiańskie nie ulega wątpliwości, a badanie pokrewieństwa językowego tych narodów może przynieść językoznawstwu znaczną korzyść w dziedzinie poznania praw rozwoju języka». Jest rzeczą jasną, że teoria «prajęzyka» — oczywiście w rozumieniu, jakie jej podsuwał Marr i marryści — «nie ma z tą sprawą nic wspólnego».

Odpowiedź na ostatnie z postawionych mu pytań: czy słusznie postąpił dziennik «Prawda» otwierając swobodną dyskusję nad zagadnieniami językoznawstwa? — dała Stalinowi sposobność do ostrego potępienia metod stosowanych przez Marra i jego kontynuatorów w propagowaniu swoich teorii i narzucaniu ich ogółowi językoznawców radzieckich. Sam N. J. Marr «wniósł do językoznawstwa niewłaściwy marksizmowi, nieskromny, chełpliwy, wyniosły ton, prowadzący do gołosłownego i lekkomyślnego negowania wszystkiego co było w językoznawstwie przed jego wystąpieniem». Wytyka więc Stalin w pierwszym rządzie «krzykliwe szkalowanie» przezeń i jego następców metody porównawczo-historycznej jako idealistycznej, jakkolwiek należy stwierdzić, że metoda porównawczo-historyczna jest — pomimo wszelkich swych braków — lepsza niż «rzeczywiście idealistyczna czteroelementowa analiza N. J. Marra». Wyniosły i wzgardliwy w stosunku do przeciwników ton Marra i jego uczniów, prowadzi do tego, że gdy się ich słucha, «można by myśleć, że przed N. J. Marrem nie było żadnego językoznawstwa, że językoznawstwo zaczęło się z chwilą pojawienia się marrowskiej «nowej nauki o języku»: o ileż skromniejsi byli Marks i Engels, którzy uważali, że ich materializm dialektyczny jest produktem rozwoju nauk, w tej liczbie filozofii, w ciągu poprzednich okresów». Dyskusja w «Prawdzie» okazała się zdaniem Stalina szczególnie pożyteczna także dlatego, że przełamała wprowadzony przez zwolenników «nowej nauki» w językoznawstwie «reżim Arakczejewa», polegający na prześladowaniu oso-

bistym i tępieniu w zarodku wszelkich przejawów krytyki i dezaprobaty doktryny Marra — wbrew powszechnie uznanej prawdzie, «że żadna nauka nie może się rozwijać i prosperować bez walki poglądów, bez wolności krytyki». Ogólne wnioski wynikające z tej dyskusji zamknął Stalin w lapidarnym stwierdzeniu, że «likwidacja reżimu Arakcejewy w językoznawstwie, wyrzeczenie się błędnych teorii Marra i wprowadzenie istotnego marksizmu do językoznawstwa — oto właściwa droga, na której można uzdrowić językoznawstwo radzieckie».

Wywody te uzupełnił jeszcze Stalin kilku ważnymi dodatkowymi wyjaśnieniami, ogłoszonymi w kilka tygodni później w prasie radzieckiej («Bolszewik» nr 12, «Prawda» nr 185 itd.) i przedrukowanymi w przekładzie przez prasę polską, w odpowiedzi na skierowane do niego listy z zapytaniami ze strony młodszych językoznawców, towarzyszy partyjnych. Z odpowiedzi tych najważniejsze są dwa wyjaśnienia: pierwsze dotyczy roli semantyki w badaniach językoznawczych: autor przestrzega przed przecenianiem jej znaczenia i nadużywaniem, które prowadzić może — jak u Marra i niektórych jego uczniów — do lekceważenia języka jako «bezpośredniej rzeczywistości myśli», nierozzerwalnie związanej z myśleniem, z czego w dalszym ciągu dojść można do zgoła idealistycznych koncepcji, odrywających całkowicie język od myślenia a przyjmujących możliwość komunikowania się ludzi bez pośrednictwa języka, przy pomocy samego myślenia wolnego od «przyrodzonej materii». Drugie zaś wyjaśnienie odnosi się do zagadnienia formalizmu w językoznawstwie: zarzut «formalizmu», stosowany przez Marra i jego uczniów do wszystkich językoznawców, którzy nie podzielali ich «nowej nauki o języku», nazywa Stalin wprost niepoważnym i niemądrym, nie można bowiem uważać — jak to czynił Marr — gramatyki za cześć «formalność», a ludzi, którzy słusznie uznają budowę gramatyczną za podstawę języka, za «formalistów». Przyczyną zastoju w językoznawstwie radzieckim nie był wcale «formalizm», wynaleziony przez marrystów, ale reżim Arakcejewy stosowany przez nich oraz luki teoretyczne w doktrynie językoznawczej.

Na koniec wyjaśnia Stalin podniesioną w jednym z listów (A. Chołopowa) pozorną sprzeczność między jego twierdzeniem w artykule «W sprawie marksizmu w językoznawstwie», że ze skrzyżowania języków nie powstaje nigdy nowy język, ale tylko jeden z krzyżujących się języków zwycięża i pochłania inne, a dawniej wypowiedzianym (na XVI zjeździe WKPb) poglądem, że kiedyś w przyszłości po zwycięstwie socjalizmu w całym świecie języki narodowe muszą się zlać w jeden język wspólny, który «nie będzie oczywiście ani rosyjskim, ani niemieckim, ani żadnym innym, ale czymś nowym». Sprawa ta wyjaśnia się po prostu różnicą epok, do jakich odnoszą się te dwie wypowiedzi Stalina: pogląd, że skrzyżowanie musi prowadzić do zwycięstwa jednego z krzyżujących się języków, odnosi się do epoki przed zwycię-

stwem socjalizmu w skali światowej, kiedy to krzyżowanie języków odbywa się w wirze walki o panowanie jednych narodów i języków nad innymi, kiedy nie ma jeszcze mowy o zupełnym równouprawnieniu i prawdziwie pokojowej współpracy między narodami — w takich warunkach mogą istnieć tylko narody i języki zwycięskie i zwyciężone, skrzyżowanie musi więc prowadzić nie do powstania nowego języka, ale tylko do zwycięstwa jednego nad drugim. Co innego w epoce po zapanowaniu socjalizmu na całym świecie: wtedy gdy zupełne równouprawnienie narodowe i językowe będzie faktem, kiedy ustaną wszelkie antagonizmy społeczne i narodowe i nie będzie już warunków dla przewagi jednego języka nad drugim — wtedy «w wyniku długotrwałej współpracy ekonomicznej, politycznej i kulturalnej narodów zaczną się wylaniać najpierw najbardziej wzbogacone jednolite języki strefowe, a następnie stopią się w jeden wspólny język międzynarodowy, który oczywiście nie będzie ani niemieckim, ani rosyjskim czy angielskim, lecz nowym językiem, «który wchłonie w siebie najlepsze elementy języków narodowych i strefowych». Oba te ujęcia nie wykluczają się więc wzajemnie i oba zgadzają się zupełnie dobrze z marksizmem, który tylko «mole książkowe i talmudyści» traktują jako zbiór dogmatów nigdy się nie zmieniających mimo zmiennych warunków rozwoju społecznego, podczas gdy «marksizm jako nauka nie może stać w miejscu, ale wciąż się rozwija i doskonali, nie uznaje niezmiennych wniosków i formuł, obowiązujących dla wszystkich epok i okresów».

Wypowiedź Stalina nie zamknęła wprawdzie rozpoczętej na łamach «Prawdy» dyskusji językoznawczej, wywarła jednak wpływ decydujący na jej dalszy przebieg i kierunek. Bezpośrednio po pierwszym artykule Stalina ogłoszona w tym samym numerze «Prawdy» wypowiedź profesora moskiewskiego Instytutu Pedagogicznego P. Czornycha — napisana jeszcze bez znajomości poglądów wodza narodów radzieckich — formułuje jasno i śmiało diametralnie sprzeczne z murrayzmem, ale w niczym nie kolidujące z materializmem dialektycznym i historycznym podstawy historyczno-porównawcze badań nad dziejami języka rosyjskiego. Muszą się one opierać na gramatyce porównawczej języków słowiańskich, dla której koniecznym punktem wyjścia jest oczywiście koncepcja przedhistorycznej wspólnoty językowej ogólnosłowiańskiej, wynikająca z historyczno-porównawczej analizy budowy poszczególnych języków słowiańskich i prowadząca do nieuchronnego wniosku, że różnice w strukturze gramatycznej i słownictwie, jakie między nimi zachodzą, są prawie wszystkie następstwem rozpadu tej wspólnoty. Ten proces dyferencyjny da się bez trudności wyjaśnić na tle zmian w strukturze społeczno-gospodarczej i ustrojowej, zgodnie z założeniami materializmu dialektycznego i historycznego: twierdzenie zatem głoszone przez murrayistów, że wszelka

myśl o pierwotnej wspólności językowej jakiegokolwiek grupy (rodziny) językowej jest przejawem «reakcji», pozbawione jest podstaw rzeczowych. Nie można się więc zgodzić z poglądem wypowiedzianym w dyskusji przez akademika Mieszczaninowa, że «wyrzeczenie się koncepcji prajęzyka jest punktem wyjścia dla konstrukcji materialistycznego językoznawstwa». Pogląd ten na równi z całą marrowską teorią analizy paleontologicznej opartej o cztery podstawowe elementy słownictwa — nie da się w żaden sposób utrzymać, a wraz z nim pada cała tzw. «nowa nauka o języku».

Następne dwa artykuły: prof. T. Łomtiewa z Uniwersytetu Moskiewskiego («Prawda» nr 178, z 27. VI. br.) i prof. G. Achwledianiego z Uniwersytetu w Tyflisie (w tym samym numerze «Prawdy») nawiązują już do pierwszej wypowiedzi Stalina i rozwijają argumenty na rzecz podtrzymania w językoznawstwie metody badania porównawczo-historycznego, która ma niewątpliwie pewne niedostatki — stara się je ustalić zwłaszcza prof. Łomtiew, co by zasługiwało na osobne rozważenie i dyskusję — ale ma wypróbowane drogi rozumowania, które doprowadziły ją do wyników, z którymi nie mogą wytrzymać porównania wnioski wysuwane przez N. J. Marra i jego kontynuatorów na podstawie metody tzw. analizy paleontologicznej języka, opartej na zupełnie dowolnym zestawianiu wyrazów i zjawisk językowych bez zwracania uwagi na ich historyczne pochodzenie. Prof. Achwlediani posuwa się jeszcze dalej w obronie porównawczo-historycznej metody badań językowych, kładąc silny nacisk na koncepcję prajęzyków jako jedyną drogę do wyjaśnienia faktów pokrewieństwa językowego, którego realność z takim naciskiem podkreślił J. W. Stalin. Autor ma za złe prof. Czikobawie, że w swoim artykule, otwierającym na łamach «Prawdy» dyskusję na temat językoznawstwa, «nie znalazł dość męstwa», aby jasno opowiedzieć się za tą koncepcją, chociaż uznanie dla niej przebija się u niego «między wierszami». Przyczyną tej nadmiernej wstrzemięźliwości był niewątpliwie fakt, podniesiony ironicznie przez zwalczającego jego poglądy prof. Czemodeanowa, że termin «prajęzyk» stał się w językoznawstwie radzieckim zbyt «ohydny» («odiozny») na równi z terminami «indoeuropeistyka», «rodzina językowa» itp. Było to wynikiem gwałtownej kampanii przeciw językoznawstwu porównawczo-historycznemu, prowadzonej przez Marra i jego następców, ale obecnie językoznawcy radzieccy «nie powinni bać się terminów, zwłaszcza takich, co tak dobrze odpowiadają swej właściwej treści». Obowiązkiem ich jest wyprzedzić językoznawców krajów kapitalistycznych pod względem techniczno-metodycznym i podnieść jeszcze dawniejszą sławę językoznawstwa rosyjskiego przez odnowienie na gruncie radzieckim językoznawstwa porównawczo-historycznego na nowych marksistowskich podstawach.

W ostatnim, zamykającym dyskusję numerze »Prawdy» (nr 185, z d. 4. VII. br.) po drugim artykule Józefa Stalina (w odpowiedzi na list jednej z młodych lingwistek-towarzystek partyjnych, o czym już wyżej była mowa), ukazał się szereg wypowiedzi językoznawców radzieckich, którzy już po części poprzednio zabierali głos w tej dyskusji. Jedni z nich — dawni przeciwnicy murrayizmu, jak I. A. Bułachowski, S. P. Obnorski, W. Szyszmariew — podkreślają i rozwijają niektóre myśli zawarte w wywodach Stalina, stwierdzając z widoczną ulgą, że murrayizm «stał się przeżytym etapem» w językoznawstwie radzieckim. Inni, do niedawna jego propagatorowie i obrońcy (I. I. Mieszczaninow, N. Czemođanow, N. Jakowlew, S. Tołstow, W. W. Winogradow, E. Gałkina-Fiedoruk) uznają w pełni swój błąd w wyborze drogi metodycznej i rzucają pewne myśli i uwagi co do dalszej pracy w nawiązaniu do wskazówek zawartych w wypowiedziach J. W. Stalina.

Dyskusja na łamach »Prawdy», której tylko najważniejsze momenty mogliśmy tu przedstawić, stanowi bez wątpienia zasadniczy przełom w rozwoju językoznawstwa radzieckiego. Obalenie niezdrowej przewagi zwolenników doktryny Marra oraz stosowanych przez nich metod nacisku na przeciwników, które Stalin określił ironicznie mianem «reżimu Arakczejewa», zapewnia językoznawcom radzieckim możliwość swobodnej pracy, nie krępowanej żadnymi z góry narzuconymi założeniami teoretycznymi ani ograniczeniami w zakresie metody. W tych warunkach przy swobodnym ścieraniu się poglądów i wolności krytyki — na co Stalin kładzie w swoich wywodach szczególnie nacisk — językoznawstwo radzieckie rozwinie z pewnością wszystkie swoje siły, dla których niebawem bogactwo materiału naukowego w kilkudziesięciu rozmaitej struktury językach, jakimi posługują się ludy zamieszkujące olbrzymie obszary Związku Radzieckiego, nastęrcza możliwości badawcze nigdzie zresztą na świecie nie spotykane. Rozwojowi temu sprzyjać też będą przy tym nie tylko świetne tradycje dawniejszego językoznawstwa rosyjskiego, ale także istnienie liczniejszych niż gdziekolwiek indziej, dobrze wyszkolonych kadr pracowników naukowych, którzy — mimo przejściowej jednostronności nastawienia metodycznego — potrafią z pewnością sprostać stojącym przed nimi szerokim zadaniom naukowym i zapewnić swojej gałęzi wiedzy przodujące stanowisko w nauce światowej.

Przełom w językoznawstwie radzieckim, utwierdzony czynną interwencją Józefa Stalina, odbije się też bez wątpienia na polu innych dyscyplin naukowych, związanych z językoznawstwem licznymi węzłami badawczymi. Należą do nich w pierwszym rzędzie prehistoria, antropologia i etnografia, a także w pewnym stopniu dawna historia, które ulegały w ostatnich latach w sposobie stawiania zagadnień i formułowaniu wniosków coraz silniejszemu wpływowi doktryny marrowskiej. Widać to było wy-

rażnie np. w sposobie traktowania zagadnień związanych z problemem pochodzenia Słowian, który wymaga wspólnego z językoznawstwem naświetlenia ze strony tych dyscyplin. Wobec skrajnie negatywnego stanowiska Marra i marrystów w stosunku do koncepcji prasłowiańskiej wspólnoty językowej i etnicznej oraz tzw. praojczyzny Słowian, zarówno prehistoria radziecka jak antropologia i etnografia dążyły usilnie do uzgodnienia interpretacji wyników badań w swoich dziedzinach z wymogami tej doktryny i unikały, nieraz z wielką szkodą dla wartości swych uogólnień, wszelkich wyjaśnień przeddziejowych przemian kulturowo-etnicznych za pomocą hipotez ekspansji czy migracji plemiennych czy też dyferencjacji rozpadu większych zespołów plemiennych na części drobniejsze, stanowiące punkt wyjścia dla dalszego rozwoju etniczno-językowego. Wszystkie te koncepcje były przez marrystów hałaśliwie piętnowane jako «reakcyjne» i «antynaukowe», chociaż nawet z punktu widzenia krytyki opartej na teorii materializmu dialektycznego i historycznego trudno by było znaleźć przeciw nim zastrzeżenia.

Dla nauki polskiej, w szczególności dla językoznawstwa polskiego ma przełom w językoznawstwie radzieckim również doniosłe znaczenie. Wprawdzie językoznawstwo nasze okazywało zawsze odporność w stosunku do doktryn Marra, nie ma więc potrzeby wyrzekać się ich i z błędnej drogi zawracać, ale problemy poruszone w dyskusji radzieckiej skierowanej przeciw marryzmowi nie mogą być dla naszej nauki obojętne. Dotyczy to w pierwszym rzędzie doniosłej sprawy stosunku metod badawczych językoznawstwa zarówno na płaszczyźnie synchronicznej (typologicznej) jak i historyczno-porównawczej do marksizmu. Problem ten — zaledwie naszkicowany w dyskusji radzieckiej — wymaga starannego i głębokiego przemyślenia i nie da się ująć w przygodnym sprawozdawczym artykule. Powinien on zresztą stanowić jedną z osi współpracy między językoznawstwem polskim i radzieckim, która obecnie po obaleniu zapory, jaką stanowił między uczonymi obu krajów marryzm, rozwijać się może w całej pełni. Współpraca ta poza zagadnieniami metodycznymi powinna obejmować szereg dziedzin studiów realnych zarówno w zakresie szerokich zagadnień językoznawstwa ogólnego i porównawczo-historycznego, jako też w zakresie szczegółowych zagadnień gramatyki opisowej i dydaktyki językowej.

W szczególności w zakresie językoznawstwa ogólnego — zarówno w badaniach nad składnią i teorią części mowy, które w ostatnich latach poczyniły w nauce radzieckiej wielkie postępy, jak i w zakresie typologii języków, dla którego to działu językoznawstwo radzieckie rozporządza ogromnym, dotąd w całości nie przebadanym materiałem w kilkudziesięciu pozaindoeuropejskich językach, jakimi mówi ludność olbrzymich europejskich i azjatyckich terenów Związku Radzieckiego — współpraca ta może

językoznawcom polskim przynieść ogromne korzyści, otwierając przed nimi nowe, szerokie horyzonty badawcze. W zakresie językoznawstwa porównawczo-historycznego, zwłaszcza w dziedzinie badań nad zagadnieniami pokrewieństwa językowego, gdzie zamęt wywołany przez doktrynę Marra dał się odczuć w sposób szczególnie dotkliwy, współpraca między uczonymi polskimi a radzieckimi może się wiele przyczynić do przewyciężenia trudności nagromadzonych w ostatnich latach. W obu tych dziedzinach próby współpracy podejmowane po wojnie ze strony językoznawców polskich napotykały na trudności ze strony fanatycznych zwolenników Marra z powodu nieuznawania przez polskich autorów¹⁾ jego teorii. Obecnie przeszkody tego rodzaju znikają w zupełności i nie stoi na przeszkodzie w zacieśnieniu stosunków naukowych, które zwłaszcza w tych dziedzinach mają ogromną wagę dla postępu badań po obu stronach. Współdziałanie w pracy nad gramatyką opisową, zwłaszcza języków słowiańskich, oraz na polu dydaktyki językowej może mieć duże znaczenie nie tyle w zakresie naukowym, co praktycznym — niemniej jednak jest ono z punktu widzenia zarówno naukowego jak, przede wszystkim, społecznego ze wszech miar ważne i pożądane.

¹⁾ Dwaj językoznawcy polscy, prof. Jerzy Kuryłowicz i podpisany, ogłosili w r. 1946 artykuły naukowe w wydawnictwach Akademii Nauk Z. S. R. R.: pierwszy o zagadnieniu ergatywności i stadialności w języku (Izwiestija Akademii Nauk Z. S. R. R., Otdiel Litieratury i Jazyka, t. V, str. 387—94), drugi o pochodzeniu Słowian i ich języków (Woprosy Istorii, 1946, nr 10, str. 81 i nn.). Oba te artykuły spotkały się w krytyce radzieckiej z zarzutami, wynikającymi wyłącznie z faktu nieuznawania przez autorów doktryny Marra — a więc z zarzutami, które w dzisiejszym położeniu okazują się nieistotnymi.

Tadeusz Lehr-Splawiński.

Polska gwara na Węgrzech

Dawni czytelnicy Języka Polskiego przypominają sobie szereg artykułów M. Małeckiego (w latach 1928—32) poświęconych gwarom zakarpackich «wysp» polskich. Treść tych artykułów zebrał autor krótko w książeczce «Język polski na południe od Karpat» (Biblioteczka Tow. Mił. Jęz. Pol. nr 12, 1938). Zdawało się, że Małecki wyczerpał wszystko, co miało związek z tym tematem, pominawszy tylko gwary zupełnie nowych (powstałych czasem już w XX wieku) osad polskich we wschodniej Słowacji. Tymczasem okazało się, że jest inaczej. Ani Małeckiemu, ani innym polskim językoznawcom nie przyszło na myśl, że wyspy polskie mogą istnieć na południe od Słowacji, już w granicach obecnego państwa węgierskiego i w otoczeniu językowym węgierskim¹⁾.

O takiej właśnie «wyspie» dowiadujemy się z cennej pracy J. Štolca «Nárečie troch slovenských ostrovov v Maďarsku» (Bratislava 1949, stron

¹⁾ Oczywiście wiadano o kolonistach polskich w Bośni, o których pisał Małecki w JP XII (1927). Trudno jednak już te bałkańskie wyspy nazywać «zakarpackimi».

541 i mapa). Praca ta podaje opis różnorodnych dialektów słowackich rozsianych pośród węgierskiego obszaru językowego. Znalazł się tu także opis polskiej gwary wsi nazywającej się oficjalnie po węgiersku *Derenk*, a w mowie jej mieszkańców *Drėnk* (*na Drėnku*). Wieś ta leży, a raczej leżała, przy samej granicy państwowej czeskosłowackiej, około 20 km na południowy wschód od miasta Rożniawy. Leżała, bo jak się dowiadujemy od autora książki, w r. 1942 całą ludność przymusowo wysiedlono rozpraszając ją po dość odległych wsiach i folwarkach, domy i zabudowania gospodarskie zburzono, a także kościół zrównano z ziemią. Jakie były powody tego rodzaju posunięcia ówczesnych faszystowskich władz węgierskich, o tym autor nie mówi. W każdym razie, gdy Štolc odwiedził w r. 1946 miejsce, gdzie dawniej leżał *Derenk*, zastał tam już tylko jedną rodzinę. Inni członkowie ekspedycji, w której brał udział Štolc, rozmawiali około godziny z dwoma kobietami z tej rodziny. Notatki poczynione w tym czasie przez słowackiego dialektologa dają ogólny wprawdzie, ale mimo to dość jasny obraz gwary dawnego *Derenku*.

Gwarę tę nazywa autor konsekwentnie «góralską» (*goralské nářečie*) lub «podhalańską» nigdy nie używając przymiotnika «polski». Nie ma w tym błędu, boć wszystkie gwary «góralskie» (po słowacku *goralské* z polskim *g*) są oczywiście gwarami polskimi. Ale oczywistym błędem jest podawanie za góralskie takich cech (ogólnolechickich, ogólnopolskich lub co najmniej obejmujących znaczne połacie obszaru polskiego, także nizinnego), jak zachowanie *g*, zachowanie nosówek, «pochylenie» dawnych dźwięcznych samogłosek ($\bar{a} \Rightarrow o$, $\bar{o} \Rightarrow ó$, $\bar{e} \Rightarrow é$), przejście dawnego *r* miękkiego w *ř*, szeroko rozbudowana korelacja spółgłosek miękkich i twardych, mazurzenie i słaba, małopolska wymowa χ . Także dyspalatalizacje $e \Rightarrow o$, $\check{e} \Rightarrow a$ (*šostra*, *ńeoblecona*, *las*, *ńejadla*) są dla autora «góralskie», choć pierwsza z nich sięgała aż za dolną Łabę.

Ta dziwna terminologia nie zmniejsza jednak w niczym wartości konkretnych informacji, jakie nam daje Štolc o gwarze *Derenku*. Na podstawie tych informacji pokusimy się o określenie w przybliżeniu okolicy, z których przybyli do *Derenku* pierwsi koloniści polscy. Że ich dialekt jest małopolski (a nie np. w podstawie południowo-śląski, jak to przypuszczał Małecki o niemazurzącym dialekcie liptowskiej Ciepliczki), o tym świadczy mazurzenie, jak i *-k* lub *-f* na miejscu końcowego χ (*tik* 'tych', *jik* 'ich', *malaf* 'miałam'). To *f* wskazywałoby na wschodnią Nowotarszczyznę, Pieniny lub północny, językowo w większości polski Spisz, bo w tych tylko okolicach ogólnopolskiemu końcowemu χ odpowiada zawsze *-f* obok, *-k*, zależnie od wsi. Typ nosówek, zgodny w zasadzie z typem panującym, w polszczyźnie kulturalnej, wskazuje również raczej na wymienione okolice niż np. na Sądeczycznę, w której nosówki przedstawiają się całkiem inaczej. Nie sprzeciwia się temu przypuszczeniu też panująca w *Derenku*

wymowa *fto, fce*, powszechna między innymi na omawianym obszarze wschodniego Podhala, Pienin i Spisza. Natomiast archaiczny typ *ńejadla jem, tag jem se zlenkla*, zanotowany w Derenku, wskazuje już całkiem wyraźnie na Spisz. Typ ten, nieznanym w innych polskich gwarach (poza nie wchodzącą tu w rachubę kaszubszczyzną), zanotował Małecki właśnie na Spiszu w Družbakach Dolnych i w Kaczem. Istniejący obok typu *ńejadla jem* typ *malaf* zdaje się wskazywać na jakąś mieszaninę pokrewnych dialektów, co bardzo prawdopodobne, bo koloniści zakładający nową osadę rekrutowali się zwykle z kilku lub więcej wsi sąsiednich.

Na północny Spisz jako ojczyznę pierwszych polskich kolonistów w Derenku mogłyby wskazywać także liczne zapożyczenia i wpływy słowackie, mające wyłącznie charakter wschodnio-słowacki (jeśli nie ogólnosłowacki). Tak np. zanikły w Derenku *č, ř* przeszedłszy w (półmiękkie zapewne) *č, ř*, ale polskie *ś* i *ź* zachowały się doskonale. Staje się to od razu zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę, że w dialekcie wschodnio-słowackim dźwięki *č, ř* istnieją wprawdzie, lecz występują tylko w kilku wyrazach, za to dźwięki *ś, ź*, zupełnie identyczne z polskimi, występują tu równie często jak w języku polskim. Niewątpliwie jednak znakomitą większość słowacyzmów przejęli dopiero potomkowie pierwszych kolonistów od niedalekich wysp wschodnio-słowackich w otoczeniu węgierskim. Do wniosku takiego prowadzi nieuchronnie fakt, że żadna z gwar polskich na Spiszu nie ma tytułu słowacyzmów, co gwara w Derenku.

Ciekawe słowacyzmy fonetyczne — to 1. wymienione już przejście polskich *č, ř* w *č, ř*, 2. zanik miękkich wargowych z wyjątkiem pozycji przed *i*, 3. prawie zupełne wyparcie dawnego polskiego *ř* przez twarde słowackie *r* (*kris, treba, s tego briska* etc.; obok tego *gvařom*). Oba pierwsze to słowacyzmy połowiczne, polegające na usunięciu głosek obcych systemowi słowackiemu, jednak w ten sposób, że formy panujące dziś w Derenku różnią się nadal od odpowiednich wschodnio-słowackich. Tak np. wyraz *ućeć* mimo zatory polskiego *č* (zamienionego na *č*) nie stał się przez to podobniejszy do wschodnio-słowackiego *ucec*; wpływ słowacki usunął cechę typowo polską, ale nie spowodował przez to słowacyzacji fonetycznej wyrazu. Podobnie wpływ słowacki usunął z gwary Derenku niemożliwe w słowackim systemie miękkie spółgłoski wargowe lub wargowo-zębowe, ale zmianę przeprowadzono nie na sposób słowacki (w zasadzie stwardnienie wargowej), ale przez rozkład miękkiej wargowej na wargową + *ź*): w ten sposób np. na miejscu dawnej polskiej formy *panoŃ* powstała nowa forma *panoŃie*, bynajmniej nie identyczna ze słowacką *panove*. Trzeci słowacyzm fonetyczny jest, jak widzimy, jeszcze nie całkiem konsekwentny; polega on na usuwaniu trudnego do wymówienia dla Słowaka dźwięku *ř*. Dźwięk ten, jak wiemy, obcy jest również od dawną polskiemu dialektowi kulturalnemu i olbrzymiej większości gwar ludo-

wych, zachował się jednak do dziś właśnie w polskiej językowo części Spisza, skąd niewątpliwie przyszedli przodkowie derenczan.

Na ciekawy proces fonetyczno-morfologiczny wskazuje forma *po gvarje* (*nas po gvarje poznajôm*). Mówiący najwidoczniej zatracił już w zasadzie pod wpływem słowackim dawne *ř*, ale twarde słowackie *r* w miejscowniku wydało mu się w skutek trwających u niego polskich przyzwyczajęń morfologicznych nieodpowiednie. Wybrnął więc z trudności umieszczając przed końcówką miejscownika miękkie *r* zrealizowane jako *rĭ* (por. formę loc. sing. *v domĭe*). Nowopowstały typ miejscownika nie jest oczywiście ani polski, ani słowacki (por. sł. *na hore* 'na górze' etc.). Teraz rozumiemy, skąd się wzięły zagadkowe dotychczas formy z miękkim *r* w słowaczających się lub zesłowaczonych polskich do niedawna gwarach okolic Czacy.

Miękkie polskie *k*, obce językowi słowackiemu, zachowało się w zasadzie: *kebi*, *kedy*. Ale widocznie grozi mu już stwardnienie i aby temu zapobiec, jeden z mówiących użył rozłożonego *kĭ* w formie *na zidofskĭe*. To *kĭ* znów nie jest ani polskie, ani wschodnio-słowackie.

Zapózyczeń słownikowych musi być w gwarze Derenku bez liku, o czym jasno świadczy już szczupły materiał podany przez Štolca. Liczne są też słowacyzmy morfologiczne, np. *mala* 'miała', słowo posiłkowe *som* obok *jem* (*som ho zbila*, *ja som vižala*). Mimo to polski charakter gwary jest jeszcze oczywisty. Za to poczucie narodowe wsi było, jak twierdzi Štolc, słowackie, a nie mamy powodu mu nie wierzyć. Także swoją gwara uważali widocznie derenczanie za jakąś odmianę języka słowackiego, co znalazło odbicie w zapisanym przez Štolca zdaniu *nas po gvarje poznajôm, ze my Sloviaci*. Nie ma w tym nic dziwnego. Przecież już przodkowie derenczan przybyli ze Spisza wystawionego od wieków na wpływy słowackie. Od chwili ich osiedlenia się w Derenku polszczyzna kulturalna nigdy tu na pewno nie dotarła. Językiem kazań, modlitw, śpiewu kościelnego był niewątpliwie, podobnie jak w rzeczywistych słowackich wyspach na Węgrzech, język słowacki, póki go nie wyparł węgierski. Obecne rozproszenie dawnych derenczan po różnych wsiach, w większości węgierskich, spowoduje ich powolną madziaryzację i zupełny zanik ciekawej polskiej gwary dawnego Derenku¹⁾.

Zdzisław Stieber.

¹⁾ Podając formy wzięte z gwary Derenku zachowuję w zasadzie transkrypcję fonetyczną Štolca wprowadzając tylko tu i ówdzie znaki przyjęte w polskiej transkrypcji fonetycznej (np. *ň* zamiast *ñ*). Być może, że znak *l* (np. w *nejadla*) należałoby zastąpić literą *t*, bo Słowacy zwykle literą *l* oznaczają dźwięk identyczny z polskim przedniojęzykowym *t* lub do niego bardzo podobny, oznaczając równocześnie miękkie *l'* (jak w polskim *lis*) znakiem *l'* lub *l*. Ponieważ jednak są gwary słowackie, które dawne twarde *t* zastąpiły średnim *l*, a od nich mógł taką właśnie wymowę przejąć Derenk, wolę pozostawić pisownię Štolca nie zmienioną.

Polszczyzna w dolinie Topli

Z końcem lipca 1926 roku wracaliśmy koleją z Preszowa do Bardiowa. Po zainstalowaniu się w wagonie III klasy zaszedłem jeszcze do bufetu po papierosy. Gdy powróciłem, wagon stanowił teren groźnej wymiany zdań między moim krewkim towarzyszem podróży a chłopami z doliny Topli. W stanie niezbyt trzeźwym wracali oni wraz ze swoim wójtem czy sołtysem, którego zdaje się nazywali starostą, do domu po przypędzeniu znaczniejszej ilości bydła do Preszowa. Jak się później okazało, rozmowa o charakterze towarzyskim, rozpoczęta z moim towarzyszem podróży, z lingwistycznego sporu przeistoczyła się w kłótnię grożącą rękoczynami.

Jak się to często zdarza, mój towarzysz wykazał zainteresowanie lokalną etnografią. Chłopi dowiedziawszy się, że jest Polakiem, poprosili go, by mówił po polsku. Jego zapewnienie, że on przecież mówi po polsku, uznali jednak za drwiny, gdyż on przecież, ich zdaniem, mówił tak, jak oni, to znaczy po słowacku. Gdy nie orientujący się profesor obstawał w dalszym ciągu, że mówi po polsku, chłopci uznali to za prowokację. Dopiero energiczna interwencja konduktora, popartego przez wójta, uspokoiła chłopów, zaś profesorowi młody Żyd wyjaśnił, że dla miejscowych chłopów językiem polskim jest język robotników leśnych, przychodzących z polskiej strony na sezon zimowy. Był to oczywiście język ruski naszych Łemków, zaś swój język polski uważali oni za słowacki.

Niestety nie pamiętam, z jakiej wsi pochodzili pijani chłopci. Wiem jedynie, że była to wioska w dolinie Topli, a wysiedli na pół drogi z Preszowa do Bardiowa¹⁾.

W Poznaniu, dnia 19. VI. 1950.

Jan Czekanowski.

Najnowszy słowiański język literacki

W czasie ostatniej wojny światowej wraz z narodowym wyodrębnieniem się Macedończyków w r. 1943 powstał język literacki macedoński, najmłodszy słowiański język literacki. Po macedońsku pisano już

¹⁾ Byli to oczywiście chłopci z jednej z tych kilku rozprószonych wsi, o których M. Małecki w książeczce «Język polski na południe od Karpat» pisze na str. 100—1: «Mam wiarygodne wiadomości, że na wschodniej Słowaczynie znaczny odsetek ludności polskiej żyje nadto w następujących wsiach: W. Bereznica, Hocza, Hradziska, Stropków, Witazowce, Polana, M. Domasza, Udawskie, Krompachy, Niżne Słowinki, Ślaniec [z których jednak na mapce oznaczył tylko Brzeżnicę, Stropków, Hoczę i ... Duplín]. Większość z nich — to osiedla typu robotniczego, skupione koło hut, kopalni żelaza i miedzi». Języka tych wysp Małecki osobiście zbadać nie zdążył, wskutek czego na mapce oznaczył je lojalnie nie jako polskie, jak znane mu lub Czambelowi niewątpliwie polskie, ale jako «mieszane polsko-słowackie lub polskie zesłowackone». Zajście opisane przez prof. Czekanowskiego świadczy, że wiadomości ś. p. Małeckiego były istotnie wiarygodne. K. N.

i dawniej. Na podstawie gwar południowo-wschodnich okolic Solunia, bliższych typowi językowemu bułgarskiemu, oparty jest najdawniejszy język literacki Słowian Konstantego - Cyryła. Z początkiem XIX w. ukazują się drukiem książki K. Pejczinowicza i J. Kreczowskiego z silnym pierwiastkiem ludowym macedońskim. Począwszy od połowy XIX w. mnożą się publikacje macedońskich pieśni i opowiadań ludowych (zbiory braci Miladinowów, Szapkarewa). Z początkiem XX w. mamy już nawet próby tworzenia języka literackiego na podstawie gwar centralnych. Wszystko to jednak były na ogół nieświadome odrębności narodowej próby pisania językiem ojezystym. Kwestia macedońska była aż do ostatniej wojny kością niezgody między krajami bałkańskimi. Począwszy od lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku kraj ten był terenem wzmoczonych agitacji, a potem i krwawych walk państw sąsiednich, usiłujących przeciągnąć na swoją stronę ludność nie uświadomioną narodowo i zacofaną kulturalnie skutkiem długowiekowego jarzma, politycznego tureckiego i duchowego greckiego. Dopiero ostatnia wojna przyniosła definitywnie konsolidację narodową Macedończyków, wydzwignęła macedońszczyznę uważaną przedtem prawie powszechnie za dialekt bułgarski, do funkcji odrębnego języka literackiego.

Dziś macedońszczyzna jest językiem państwowym ludowej republiki macedońskiej, tzw. Macedonii Wardarskiej, wchodzącej w skład federacyjnej Jugosławii; nie jest zaś językiem urzędowym bułgarskiej Macedonii Piryńskiej i greckiej Egejskiej. W r. 1945 po początkowym okresie chaosu ustalono po raz pierwszy naukowo podstawy ortografii i języka literackiego. Ortografię oparto na serbskiej przyjmując za podstawę współczesną wymowę, jest to więc, w przeciwstawieniu do ciągle jeszcze częściowo etymologicznej bułgarskiej, typowa ortografia fonetyczna. Z serbskiego alfabetu zapożyczono też litery *j*, *њ*, *ѣ*, tj. *j*, *ń*, *ł* (ostatnia bardzo rzadko używana, por. np. pisownię љубов але љуге, закључок, искључува). Na uwagę zasługują jeszcze litery *ќ*, *ѓ* (*ķ*, *ǵ*) nie spotykane ani w języku bułgarskim, ani w serbskim (choć raczej przypominające serbskie *h*, *ћ*, najbliższe polskim *ć*, *ź*), dalej nie spotykane też w sąsiednich językach słowiańskich literackich *ž* (*dž*) i znane też alfabetowi serbskiemu *џ* (*dž*).

Za podstawę nowego języka literackiego wzięto gwary centralne (Bitola, Prilep, Kiczewo), gdzie stosunkowo najmniej są widoczne wpływy serbskie i bułgarskie. Od pięciu lat wychodzą już regularnie macedońskie gazety, czasopisma, książki, pracuje uniwersytet macedoński, gdzie przy katedrze języków południowo-słowiańskich wychodzi czasopismo «Makedonski Jazik», poświęcone szczególnie zagadnieniom związanym z formowaniem się nowego języka literackiego. Powoli rozwija się literatura piękna, na uwagę zasługuje szczególnie poezja, oparta na ludowej, z piszącym po macedońsku już przed wojną W. Markowskim na czele. W mozołnej

pracy nad ustalaniem języka literackiego w ścisłym oparciu o żywy język ludowy, oczyszczaniem go z wpływów bułgarskich, serbskich, tureckich i greckich zrobiono już wiele, co najlepiej widać z porównania dzisiejszego języka z pełnym niekonsekwencji i dziwolągów językiem gazet z r. 1944 i 1945. Najdotkliwiej odczuwa się obecnie brak na naukowych podstawach opartej gramatyki (dotychczas istnieje tylko szkolna popularna gramatyka K. Kepeskiego, Skopje 1946, str. 78) i słownika. Monografię poświęconą studiom nad literackim językiem macedońskim przygotowuje radziecki uczeń S. B. Biernsztajn, uczeń jednego z najlepszych znawców macedońszczyzny A. M. Sjeliszczewa (omówienie jej por. Wiestnik Akademii Nauk SSSR. 1948, 4, s. 85—6).

Najistotniejsze cechy językowe łączą macedońszczyznę z bułgarszczyzną, oddzielając te oba języki od innych słowiańskich, a więc i od bliskiego geograficznie serbochorwackiego, a zbliżając do pozostałych języków bałkańskich, takich jak nowogrecki, rumuński i albański. Jest to szereg innowacji morfologiczno-syntaktycznych, które do gruntu zmieniły stary system językowy, przypominając pod wieloma względami zmiany zaszłe w językach zachodnio-europejskich. Przyjrzyjmy się najważniejszym z nich.

1. Zanik deklinacji. Zarówno w języku macedońskim jak i bułgarskim końcówki przypadkowe zastępuje się przyimkami, które łączą się z jednym wspólnym przypadkiem, najczęściej z pochodzenia biernikiem. Podkreślić też trzeba identyczność w obu językach przyimków, zastępujących dawne końcówki przypadkowe, a więc zarówno maced. jak i bułg. *na*, przy którego pomocy zastępuje się genetivus i dativus (мирнѣза на сеното 'zapach siana', светлост на денот 'jasność dnia', срце му тропаше като на заек 'serce mu było jak zajacowi'), dalej maced. *so*, bułg. *с, със*, przy pomocy którego zastępujemy narzędnik (со истиот тон 'tym samym tonem').

2. Rodzajnik (artykuł). W obu językach wyróżnia się określoność przedmiotu za pomocą rodzajnika, który stawia się po rzeczowniku (inaczej niż w językach zachodnio-europejskich). Znamienną cechą literackiego języka macedońskiego jest potrójny rodzajnik (znany też w gwarach bułgarskich, np. rodopskich). Oprócz wspólnego z bułgarszczyzną *-ot, -ta, -to* (bułg. *-ѣт, -та, -то*), używanego na oznaczenie przedmiotu albo osoby znanej już, używa się też dwóch innych: *-ov, -va, -vo* dla przedmiotów bliskich i *-on, -na, -no*, dla dalekich, np. Синко, ами земјава, куќава?... Зар земјата на дедовте ќе ја оставиме 'synku, ale ziemia, chata nasza!... Czyż ziemię dziadów zostawimy?'; ти го пишувам писмово 'piszę ci ten list'; човекон врви по мостон 'ów człowiek idzie po tamtym moście'.

3. Zanik bezokolicznika. Nie istniejącą formę bezokolicznika zastępuje się zarówno w macedońszczyźnie jak i bułgarszczyźnie całym zdaniem ze spójnikiem *da*: во полумракот можеше да се види 'w półmroku

mogło się widzieć', би сакала да плаче 'chciałaby płakać', требаше да има 'musiał mieć'.

4. Stopniowanie przymiotników i przysłówków. Przymiotniki i przysłówki stopniuje się w języku macedońskim i bułgarskim nie przez dodanie pewnych przyrostków (jak w innych językach słowiańskich), ale przez dodanie do stopnia równego przedrostków, w stopniu wyższym *po-*, w stopniu najwyższym *naj-*: близок : поблизок, темен : потемен, топол : најтопол.

5. Podwajanie przedmiotu. Bardzo znamioną cechą bałkańską wspólną obu językom jest wzmacnianie przedmiotu (czy to w celowniku, czy w bierniku) enklityczną formą zaimka osobowego, poprzedzającą czasownik: Бојана ги гледаше тие букви, dosłownie 'Bojana na nie spoglądała na te litery'; таа ги затвори очите, dosł. 'ona je zamknęła oczy'; и му го поднесе на министерството 'i mu to przedstawił ministerstwu'.

Szereg cech wspólnych posiada też dzisiejsza macedońszczyzna literacka z językiem serbochorwackim, niektóre z nich też stare (wpływy serbskie posuwają się na południe już w średniowieczu). Najważniejsze z nich to: brak przegłosu *e : 'a* (istniejącego w bułgarszczyźnie i polszczyźnie), łączący się z wąską wymową pierwotnej samogłoski *ě*, np. место, брег, цвет (bułg. място : мѐстен, бряг : брегѣт, pol. *miasto* : *mieście*, *kwiat* : *kwiecie*), i grupa spółgłoskowa *cr* (црн, црвен, црта) wobec bułg. *čer* (чер, червен, черта).

Poza tymi wspólnościami z językiem bułgarskim i serbochorwackim odznacza się też macedońszczyzna literacka szeregiem cech samodzielnych, nie spotykanych w sąsiednich językach literackich, choć nie obcych na ogół dialektom serbochorwackim czy bułgarskim.

1. Ustalone miejsce akcentu. Akcent macedoński jest podobnie jak i bułgarski wydechowy. Podczas gdy jednak bułgarszczyzna zachowała swobodę miejsca akcentu, literacki język macedoński, opierając się na gwarach centralnych, upowszechnił akcent w wyrazach trój- lub więcej-zgłoskowych na zgłosce trzeciej od końca: водѐница 'młyn', водѐницата (z rodzajnikiem), вѐда, вѐдата, најубав 'najładniejszy'. Na zgłoskę końcową może padać akcent tylko w wyrazach obcych.

2. Spółgłoski *k, ğ*. Na miejscu bułg. щ, жд, serb. h, ħ, pol. *c, dz* panuje dziś w języku literackim macedońskim *k, ğ*, powstałe niewątpliwie pod wpływem serbochorw. h, ħ: свеќа 'świeca', меѓа 'miedza', ноќ 'noc', ќерка 'córnka'.

3. *o* zamiast bułg. *ъ*, pol. *e* ruchomego: сон 'sen', собра 'zebrał': булг. сън, събра; дожд 'deszcz': булг. дъжд. W serbochorwackiej postaci z *a* utrzymało się ostatnio wiele wyrazów: танки 'cienki, delikatny', истанчен 'usubtelniony', лаги 'kłamstwa', русизам 'rusycyzm', шовинизам, материализам, театар, центар 'centrum'.

4. *a* jako odpowiednik pierwotnego *o* (pol. *a* albo *e* po spółgłosce twardej): рака 'reka', bułg. рѣка, serbochorw. рука; пат 'droga', bułg. път, por. pol. *patnik*. Serbizmami są oczywiście takie wyrazy jak куќа 'dom', судија 'sędzia'.

5. Zanik spółgłoski *x* (pol. *ch*) albo zastąpienie jej przez *v*: (pol. *w*): лѣб, bułg. хлиб, serbochorw. хлѣб; ветов 'stary', bułg. ветох; беа 'byli', bułg. бяха.

6. Zastąpienie pierwotnego *l* sonantycznego przez połączenie *ol* (bułg. *лъ* lub *zl*, serbochorw. *u*): солза 'łza', bułg. сълза, serbochorw. суза.

7. Czas przeszły złożony ze słowa posiłkowego имам 'mam' + imiesłów przeszły bierny: има речено 'powiedział', имам слушано 'słyszałem'.

Widzimy więc, że nie brak w literackim języku macedońskim cech zupełnie samodzielnych, które przede wszystkim decydują o jego indywidualności. To samo powiedział o gwarach macedońskich doskonali ich znawca przedwcześnie zmarły prof. M. Małecki, stwierdziwszy (RS XIV 142), że «macedońszczyzna jest pomostem między serbszczyzną i bułgarszczyzną, a włączanie jej tylko do jednego z tych języków jest z punktu widzenia językoznawczego nie uzasadnione».

Fr. Sławski.

O pierwotną nazwę *Szczecina*

Przegląd Zachodni VI (1950) 502—6.

Prof. M. Gumowski daje przegląd dotychczasowych prób etymologizowania tej nazwy, a zajmowało się tym około 10 więcej czy mniej uczonych historyków i lingwistów, niemieckich i polskich. Ze znanych duńskich i niemieckich zapisów *Stetin* i *Stitin* największą wagę przypisuje XIII-wiecznej formie *Stitin* na pieczęci i sądzi, że popiera ona jeszcze mocniej etymologię od *szczytu*; wg niego był to *Szczecin* od *szczytów* 'wierzchołków wzgórz'; jak wywodził prof. S. Rospond, który jednak przypuszczał pierwotne *Szczytno*, gdy Gumowski tak wierzy w pewność swej koncepcji, że się zastanawia, czyby nie zmienić tradycyjnego *Szczecina* na *Szczecin*?! Znany numizmatyk tak jest daleki od lingwistyki, że nie podejrzewa tkwiących tu trudności, zwłaszcza słowotwórczych, i wskutek tego nie wchodzi nawet w dyskusję ze znanymi sobie argumentami prof. St. Urbaniczyka, który już dawniej określił

Szczecin jako normalną nazwę dzierżawczą do imienia *Szczota* (jest też nazwisko *Szczotka*), a teraz, w 2. części artykułu, systematycznie to przedstawia.

Z artykułu Gumowskiego widać, że pewną rolę uczuciową odgrywa u niego także znaczenie wyrazu podstawowego. Wywodzić stolicę dawnego Pomorza od *szczytyny*? to nie pociąga. A o trzech znaczeniach *szczytu*: 1) tarcza, 2) wierzchołek, 3) «odznaczenie, które tkwi w słowie *zaszczyt*» powiada, że «trudno dzisiaj zgadywać, które [...] było miażdżące». Otóż nie trzeba zgadywać, bo w XIII wieku na pewno nie było jeszcze znaczenia trzeciego, a prawdopodobnie i drugiego: najdawniejszy jego przykład pochodzi z r. 1445 dla budynku, a dla wzgórz z r. 1636 (por. moje Studia z historii polskiego słownictwa, PAU, 1948, s. 96). Ten ostatni fakt obala też, obok strony głosowej, poważną zresztą etymologię Rosponda.

K. N.

Matos

W artykule «Z humorystyki językowej» (JP XXX 142) autor wymienił wśród szeregu kapitalnych dziwołagów i osobliwości wyraz *matos* 'las podzwrotnikowy', zaznaczając, że pochodzenie jego, czy w ogóle znalezienie się jego wśród «słówek» wypisywanych przez uczniów jest dla niego jasne. Najprawdopodobniej wypisano ten wyraz z jednej z egzotyczno-podróżniczych (nawiasem mówiąc dość słabych) książek A. Fiedlera. Wyraz jest pochodzenia portugalskiego. W języku tym *mato*, pisane również niekiedy *matto*, rodzaju męskiego (*o mato*), lub *mata*, rodzaju żeńskiego (*a mata*), oznacza las. W Brazylii lasy i puszcze nazywają *matos* lub *matas*, w przeciwieństwie do przestrzeni otwartych, bezdrzewnych, zwanych *campos*. W słowniczku uczniowskim *matos* powinno być zatem przetłumaczone przez 'lasy podzwrotnikowe', można bowiem przypuszczać, że Fiedler, który był kilka razy w Brazylii i innych krajach Ameryki Południowej, użył formy *matos* poprawnie jako liczby mnogiej.

W związku z powyższym warto może przypomnieć, że w dziedzinie nazw obcych, zwłaszcza egzotycznych, zdarzało się u nas nieraz przyswajanie liczby mnogiej romańskiej lub anglo-saskiej jako liczby pojedynczej, z tworzeniem następnie wtórnej niejako liczby mnogiej na sposób polski. Tak np. w podręcznikach geografii W. Nałkowskiego, które dokładnie pamiętam sprzed lat przeszło 40, figurowały *pampasy* w Argentynie, *Inkasi* w dawnym Peru, *Maorysi* na Nowej Zelandii itp. *Hindusów* utrzymaliśmy do dziś, a *Eskimosi* są obok *Eskimów* jeszcze bardzo rozpowszechnieni. Chodzi tu na pewno o książkową drogę tych zapożyczeń. Gdy byłem przed laty czas dłuższy w Paranie, mogłem nieraz zauważyć, że zupełnie inaczej zachodzą te sprawy, kiedy tamtejszy osadnik polski przejmując nazwy obce z żywego języka otoczenia do swej mowy codziennej. Portugalsko-brazylijskie *campo* wchodzi do tamtejszej polszczyzny jako *kamp*; *campos* to *kampy*, żadnych *kamposów* tam się nie usłyszy. Prof. Dr T. Jaczewski.

Kronika

1. Na dorocznym publicznym posiedzeniu Polskiej Akademii Umiejętności, odbytym 17 czerwca br., ogłoszono nagrody PAU za dzieła naukowe z r. 1949. Na Wydziale Filologicznym, obejmującym historię literatury, językoznawstwo, historię sztuki i etnografię, nagrodę, podzieloną, otrzymały książki: Witolda Doroszewskiego «Język Teodora Tomasza Jeża (Zygmunta Miłkowskiego). Studium z dziejów języka polskiego XIX w.» i Stanisława Rosponda «Studia nad językiem polskim XVI w. (Jan Seklucjan, Stanisław Murzynowski, Jan Sandeck-Malecki, Grzegorz Orszak)».

Odczyt naukowy pt. «Rola Mazowsza w dziejach języka polskiego» wygłosił prezes PAU Kazimierz Nitsch.

2. PEN-Klub urządził na wiosnę br. w Warszawie następujący cykl wykładów z zakresu teorii i praktyki

przekładów.

1. Jan Parandowski: O znaczeniu i godności tłumacza;
2. Prof. Witold Doroszewski: Zagadnienie idiomatyzmów w pracy tłumacza;
3. Prof. Wacław Borowy: Dawni teoretycy tłumaczenia;
4. Gabriel Karski: Kłopoty tłumacza;
5. Prof. Zofia Szmydtowa: Swojskość i egzotyzm w przekładach;
6. Prof. Stanisław Furmanik: Paradoxy przekładu;
7. Kazimierz Truchanowski: Warsztat tłumacza;
8. Jerzy Zawieyski: Przekład utworu dramatycznego;
9. Seweryn Pollak: O zagadnieniach teorii i praktyki przekładu;
10. Artur Sandauer: O przekładach poetyckich;

11. Michał Rusinek: Prawa i obowiązki tłumacza.

Witając z radością sam fakt publicznego rozważania tego przedmiotu, któremu w JP kilkakrotnie poświęciliśmy choćby przygodne uwagi, czekamy przewidzianego ogłoszenia drukiem przynajmniej niektórych z tych odczytów. Autorowie i tytuły wskazują na wysoki poziom całego cyklu, ale i o bardziej poziomych sprawach warto pamiętać. Zapewne, aż wstyd mówić o obowiązku dokładnej znajomości przez tłumacza obu wchodzących w grę języków, a przecież, zwłaszcza z języków słowiańskich, przekładają nieraz ludzie sądzący, że wystarczy ogólne zrozumienie tekstu podobnego przeciw języka.

Z tematów zapowiedzianych ale nie ogłoszonych uderzał A. Ważyka «O metodzie tłumaczenia Puszkina». Czyżby każdy wybitny autor wymagał osobnej metody? Przecie subtelne uwagi p. Ważyka (W stronę humanizmu, «Książka» 1949, s. 64—71)

m. i. o pedantycznym, a więc mało artystycznym na tym punkcie tłumaczeniu Oniegina tą samą ilością rymów męskich i żeńskich w strofie innego, inaczej ukształtowanego języka — to zagadnienie ogólne, równie ważne dla Lermontowa czy Heinego, choć istotnie szczególnie rażąco wystąpiło w skomplikowanej strofie Puszkina.

Odczyty przeznaczone były dla tłumaczy, mówiły o ich obowiązkach. A przecie obowiązki ma jeszcze inna strona: wydawcy, o których nie było wzmianki. A nawet u starannych wydawców kontrola nad przekładami powierzana była ludziom o nie znanych kwalifikacjach, którzy nie wiadomo czym zdobyli sobie na tym polu markę. «Poprawiają» oni na prawo i lewo, a autor często nie dostaje nawet korekty i dopiero w książce ze zdziwieniem dowiadytuje się czasem, co to niby on napisał. (Por. też artykuł «O korektorach językowych słów kilka» na czele XIX rocznika JP, z r. 1934). K. N.

Z listów naszych zagranicznych przyjaciół

Choć książkę Rozwadowskiego «O związkach i rozwoju języka» rozesłaliśmy dość obficie, w żadnym polskim piśmie nie znaleźliśmy o niej dotąd nawet drobnej wzmianki. Za to piszą o niej do nas prywatnie z zagranicy.

1. P. Róża Fischer-Pinnerowa, przedwojenna doktorka U. J. (praca doktorska wyszła w r. 1931 pt. Samuel Twardowski jako poeta barokowy), a dziś w Izraelu prowadząca fermę kurzą, poza tym jednak tłumacząca na polskie Rilkego «Elegie duinezyjskie» i będąca członkiem redakcji pismka filozoficznego «Constantin Brunner Gemeinschaft», które «redagujemy w Izraelu, drukujemy w Holandii, a materiał dostajemy ze wszystkich części świata (sic!)», po osobistych podziękowaniach pisze:

«...zawitała do mnie książka Rozwadowskiego. Przy czytaniu zdawało mi się, że niektóre z tych rozprawek czytałam jeszcze za czasów uniwersyteckich — na pewno

je chyba czytałam —, ale zdaje mi się, że dopiero dzisiaj jestem w stanie je należyście ocenić. Każda z tych rozprawek wypływa z głębin niezwykłego, ugruntowanego filozoficznie poglądu na świat i jego sprawy, który z moim do tychże spraw nastawieniem ma bardzo wiele wspólnego. Ale to oczywiście też przyszło u mnie z czasem, w ciągu tych lat dwudziestu. A przy całej naukowej gruntowności ta prostota, humor i elegancja! Postać prof. Rozwadowskiego stoi przede mną jak żywa, a z nią szereg innych drogich i pięknych cieni. — Proszę mi wybaczyć tę rozlewność — takie to już są te baby».

«Niechże mi wolno będzie popleść tutaj trochę o fonetyce mówionego języka hebrajskiego. Człowiek z uchem trochę w fonetyce wyćwiczonym ma tu ogromne pole do obserwacji. Jeśli chodzi o wymowę hebrajszczyzny, to niewiele było faktycznej, prawdziwie starej tradycji (przede wszystkim akcent, do pewnego stopnia iloczas), tak że kolejne nawarstwienia imi-

gracji mówiły i mówią hebrajszczyzną opartą na bazie artykulacyjnej poprzedniego języka, faktycznie ojczystego. Tak że po wymowie jednego już zdania po hebrajsku wie się, czy się ma do czynienia z Rosjaninem, Polakiem, Węgrem, Niemcem, Amerykaninem etc. lub człowiekiem, którego językiem ojczystym był żydowski. Gramatycy i nauczyciele całkowicie ignorują ten fakt (brak odpowiednika naszej «szkoły krakowskiej») — mimo że różne typy wymowy mają różną wartość socjalną: za najwytworniejszą uchodzi wymowa rosyjska (z twardym *l*, opuszczaniem *h* w nagłosie, a nawet nieraz z «akaniem»), potem idzie wymowa polska (brak rozróżniania *h* i *ch*, udźwięcznianie etc.). Za śmieszną, hiperpoprawną uchodzi wymowa niemiecka, za «niekulturalną» wymowa Jemenitów, mimo że prawdopodobnie u nich właśnie zachowało się najwięcej dawnej tradycji, np. ustne i gardłowe *a* (alef i ain) etc. Która z tych artykulacji stanie się kiedyś «oficjalną» i obowiązującą, nie wiadomo. Na razie w całej pełni wykorzystuje tę sytuację kabaret i komedia dla jaskrawej charakterystyki poszczególnych typów. Wymowa sceniczna najbliższa jest — powiedzmy — ukraińskiej».

2. Pan R. van der Meulen, profesor slawistyki w Lejdzie, z którego dwu prac dotyczących polszczyzny zdawa-

liśmy sprawę w 1. tegorocznym zeszycie, pisze:

«Serdecznie dziękuję Panu Koledze za łaskawą przesyłkę misternej książki Jana Rozwadowskiego o zjawiskach i rozwoju języka, którą czytałem z wielkim interesem i podziwem. Umiejętność to i sztuka. Lat czterdzieści temu, będąc studentem w Lipsku u Leskiena, odwiedziłem w Krakowie wielkiego uczonego Rozwadowskiego, który na mnie wywarł wielkie wrażenie. Wtedy w Lipsku też spotkałem się z Andrzejem Gawrońskim, który niestety zbyt wcześnie umarł. On to nauczył mnie trochę czytać i mówić po polsku.

«Jako szczerzy miłośnik języka polskiego zawsze cieszę się bardzo otrzymując polskie książki czy czasopisma naukowe, których tu w Holandii prawie zupełnie nie ma. Przepraszam Pana za błędy przeciw trudnemu dla cudzoziemca, ale pięknemu językowi polskiemu».

Jakżeż te oceny zgodne z tym, co powiedział po francusku o 1. wydaniu tej książki znakomity Antoine Meillet, żalując, że ukazała się tylko po polsku: «Rozwadowski ma głębokie zrozumienie tego, co jest w językach giętkiego, delikatnego. Równocześnie uczony i poeta, umie spostrzec i wydobyć kryjące się w języku siły ekspresji» (Bulletin de la Société de Linguistique de Paris, XXIII, 1922, s. 36—7).

Druga wymiana listów

1. Szanowny Panie Redaktorze!

Odpowiedź Pańska na list prof. Milewskiego i mój, ogłoszony w JP 1950, s. 141, podtrzymuje w złagodzonej co prawda formie zarzuty, przeciw którym protestowaliśmy. Uważam wobec tego za wskazane stwierdzić przede wszystkim, że rozmowa Pana ze mną, o której Pan wspomina, miała charakter prywatny. Z poglądami wyrażonymi w rozmowie prywatnej nie walczy się w druku. Kiedy się już jednak Pan na nią powołuje, pozwalam sobie przypomnieć, że w jej toku oświadczyłem Panu, iż podane wówczas argumenty historyczno-geograficzne chronologii mazurzenia dotyczące wcale mnie nie przekonują. Na zjeździe wrocławskim nie byłem, ale nawet gdybym był na nim obecny, nie polemizowałbym w druku z Pańskim referatem przed jego wydrukowaniem. Bo — powtarzam — nie ma zwyczaju polemizować w druku z argumentami podawanymi ustnie na takich czy innych posiedzeniach.

Opierając się na treści prywatnej naszej rozmowy, mogę wnosić, że za «najważniejszy argument swej tezy», który rzekomo mieliśmy przemilczeć, poczytuje Pan pewne Pańskim zdaniem starożytnie powiązania zasięgi niektórych zjawisk językowych z jakoby dawnymi granicami plemiennymi, w przedwojennych Pańskich pracach podobno przedstawione. Przeoczenie ostatecznie może się każdemu zdarzyć. Przejrzałem więc ponownie Pańskie prace, które Pan w odpowiedzi przytacza, i nie znalazłem w nich stanowczych w tej mierze stwierdzeń i konkretnych wniosków. Są zaledwie napomknienia — dziś się ich dopiero po ostatnich Pańskich pracach można domyślać —, ale tak mało uchwytnie, tak nie sprecyzowane, że trudno sobie było wyobrazić, o co właściwie idzie. Argument: granice plemienne w ogóle w nich nie padł. Gdy wszakże już po 2. wojnie światowej zaczął Pan konkretyzować swoje w tym zakresie pomysły, zająłem się także tymi historycznogeograficznymi argumentami, jakie Pan w dyskusję nad pochodzeniem polskiego języka literackiego wprowadził. Dałem temu drobny, ale dobitny wyraz w JP 1949, s. 196—7. Pewnej części tych nowych Pańskich argumentów poświęciłem, odrzucając je, osobny referat wygłoszony w Komisji Językowej Pol. Akad. Um. w dniu 7 czerwca 1950. Referat w skróceniu będzie drukowany w Sprawozdaniach z Posiedzeń PAU i każdy będzie się mógł z jego treścią zapoznać.

Co się pracy prof. Rosponda o mazurzeniu tyczy, czekamy, aż się całość ukaże. Fragmentami się zajmować nie będziemy. Przyszłość pokaże, czy wytrzyma krytykę. Są także tacy dobrzy znawcy przedmiotu, co mocno w to wątpią. Dla ścisłości trzeba zaznaczyć, że jego wrocławski referat dotąd się nie pojawił, streszczenie zaś referatu w Akademii wyszło z druku już po ogłoszeniu naszych artykułów o genezie literackiej polszczyzny.

Gdy się to wszystko weźmie pod uwagę, czy może być mowa o przemilczaniu przez nas argumentów przeciwników?

Oto uzupełnienia do poprzedniego naszego listu i Pańskiej nań odpowiedzi, które w obronie czci własnej i w imię prawdy winniśmy czytelnikom JP. Wierzę, że je Pan w nowym zeszycie JP pomieści.

Kraków, dnia 30 czerwca 1950.

Z poważaniem
Witold Taszycki.

2. Szanowny Panie Profesorze,

nie chcąc zajmować w JP zbyt wiele miejsca, a jego czytelnikom zbyt wiele czasu, rezygnuję ze szczegółowej dyskusji z nieistotnymi ustępami Pańskiego listu. Dla przykładu podam tylko, że czytelnik nie mający przed oczyma tekstu mojego poprzedniego listu mógłby z Pańskiego wyciągnąć wniosek, jakobym uważał pracę prof. Rosponda za już rozstrzygającą i uznaną przez wszystkich znawców przedmiotu, gdy tymczasem to właśnie ja napisałem, że «zyskała ona — oczywiście tylko na razie — uznanie niektórych dobrych znawców przedmiotu».

Przechodząc do rzeczy istotnych oświadczam przede wszystkim, że używając w recenzji w JP XXX 92 wyrazów *przemilczają*, *przemilczający* nie «miałem na celu podkopywać w czytelnikach JP wiary w Panów rzetelność naukową». Gdybym przewidział, że ktoś może to tak zrozumieć, byłbym użył wyrazu *nie uwzględniają*.

Słowami tymi miałem natomiast na celu stwierdzić, że autorowie wymienionych artykułów nie powiadomili czytelników o przeciwnym ich hipotezie moim historycznogeograficznym oświetleniu problemu dawności mazurzenia. Obecnie powiada Pan, że w moich dawnych pracach «są zaledwie napomknienia [...], ale tak mało uchwytnie, tak nie sprecyzowane, że trudno sobie było wyobrazić, o co właściwie idzie» i że «argument: granice plemienne w ogóle w nich nie padł». Na pierwsze twierdzenie

odpowiem przytoczeniem swego zdania z Gramatyki zbiorowej (1923, str. 492—3): «Ścisła tożsamość granicy mazurzenia z całą wschodnią i południową granicą Wielkopolski zbyt jest uderzająca, by nie widzieć w tym jakiegoś odwiecznego związku», że «podział językowy zgadza się ze starym podziałem dzielnicowym», czyli z wieków XII—XIII. Gdyby więc nawet nie szło o granice plemienne, to dawałem argument za istnieniem mazurzenia co najmniej o dwa wieki wcześniejszym, niż początki tego zjawiska wg hipotezy Pańskiej czy prof. Milewskiego. Oczywiście, że nie dawałem «stanowczego stwierdzenia», tylko jeden, ale bardzo poważny — jak sędzę nie tylko ja — argument.

A teraz jeszcze o «granicach plemiennych». Oto com pisał w r. 1911 w «Mowie ludu polskiego» (str. 49—50):

«Godny uwagi jest fakt, że dzisiejsza granica mazurzenia ściśle się zgadza z dawną polityczną granicą między Wielkopolską a Śląskiem, Małopolską i Mazowszem, bo ewentualnej niezgodności co do kilku wsi, przesunięcia jej o milę na wschód lub zachód oczywiście nie można brać w rachubę. Rzecz prosta, że identyczność tych dwu linii na tak długiej przestrzeni, taka dziwna zgodność dwu faktów nie może być przypadkową. Że zaś należą one do tak różnych zakresów zjawisk, iż bezpośrednio z siebie wynikać nie mogą, przeto przypuścić trzeba, że oba są rezultatem jakiejś trzeciej przyczyny. Pewności tu być nie może choćby z tego powodu, że ten fakt podstawowy do przedhistorycznej należy epoki. Bo i samo mazurzenie bardzo jest stare, tak dalece, że nie ma wcale konieczności ani pewności, czy w Małopolsce i na Mazowszu kiedykolwiek głoski *sz ż cz dż* istniały. Nie mogąc więc stwierdzić na pewno przyczyny, dla której z prasłowiańskich *sj zj* rozwinęły się w Wielkopolsce *sz ż*, w reszcie zaś Polski *s z*, poprzestać musimy na hipotezie. Oto być może, że na dnie leży jedna z tych pierwotnych różnic szczepowych¹⁾, jakie przecież w obrębie Polski istnieć musiały; na niej mógł polegać tak późniejszy podział polityczno-administracyjny, jak i językowy» (str. 49—50).

Że zaś moje poglądy nie były «tak mało uchwytne» dla tych językoznawców, co się zajmowali zagadnieniami dialektologii historycznej czy początku języka literackiego, dowodzą np.:

1. Uwzględniona przez Pana rozprawa M. Małeckiego, który — powołując się na moją «Próbę ugrupowania» — pisze: «Nie można bowiem zapominać, że izofona mazurzenia jest identyczna z granicą prastarego podziału plemion polskich, i dopatrywać się w tym dzieła przypadku może jedynie ten, kto w ogóle w całym rozwoju języka widzi same tylko ...kaprysy²⁾» (Prace Filol. XV 2, 1931, s. 230—1).

2. Rozprawa St. Rosponda p. t. «Sufiksy *-sk* i *-sko* w nazwach miejscowych do XVI w.» (Lud Słowiański II A, 1931), gdzie na str. 154 czytamy: «zgodności jak: 1. izofona mazurzenia, 2. typ *-sk*, 3. prastary podział plemion polskich, nie mogą być dziełem przypadku».

3. Wygłoszony w r. 1947, a ogłoszony w Biuletynie Pol. Tow. Językozn. VIII (1948) referat St. Urbańczyka p. t. «Kilka spraw dotyczących pochodzenia polskiego języka literackiego», gdzie na str. 124 czytamy: «Nitsch przerzuca początki mazurzenia w okres plemienny z powodu zgodności izoglosy [mazurzenia] z granicami plemiennymi».

Kończę: nie szło o to, czy argumenty moje Pana przekonały, ale o to, że z wyrażaną przeze mnie parokrotnie w druku tezą — nawet gdybym jej szczegółowo nie

¹⁾ terminy *plemienny* czy *szczepowy* są dowolne; np. por. Z. Wojciechowski, *Slavia Occid.* VII 1—2, notka.

²⁾ pite wyraźnie do Brücknera. *K. N.*

rozwinął w znanym Panu ze słyszenia referacie wrocławskim — nie tylko nie rozprawił się Pan naukowo (o co mniejsza), ale pomijając ją w wymienionym wyżej artykule ograniczył Pan pełnię jego zawartości informacyjnej o aktualnym stanie dyskusji nad początkiem polszczyzny literackiej. Tylko taki był mój zarzut.

Kraków, 30 września 1950.

Z poważaniem
Kazimierz Nitsch.

Podpisani członkowie Komitetu Redakcyjnego Języka Polskiego, oddając łamy czasopisma dla ewentualnej dalszej polemiki profesorów K. Nitscha i W. Taszyckiego (zaczętej «Wymianą listów» JP XXX 3, 141) w jej części naukowej, dotyczącej zagadnienia początku polskiego języka literackiego, uznają jej część osobistą za dostatecznie wyjaśnioną i zamkniętą.

Kraków, 15 X 1950 r.

Zenon Klemensiewicz, Tadeusz Lehr-Splawiński, Antonina Obrębska-Jabłońska,
Jan Safarewicz, Stanisław Urbańczyk.

Stopnie naukowe uzyskane z językoznawstwa polskiego w r. szk. 1949/50

I. Uniwersytet Jagielloński.

Magisteria. Helena Haluchówna: Fleksja gwary wsi Ropica pod Gorlicami. — Kazimiera Tracz-Paprocka: Polskie *cud*, st. *cudo*, etymologia na tle historyczno-porównawczym.

Doktoraty. Maria Brodowska: Objawy przemiany form celownika w wyrażenia przyimkowe w rozwoju języka polskiego. — Eugeniusz Pawłowski: Gwara podegrodzka wraz z próbą wyznaczenia południowo-zachodniej granicy gwar sądeckich.

II. Uniwersytet Warszawski.

Doktorat. Halina Kurkowska: Budowa słowotwórcza przymiotników polskich.

III. Uniwersytet Poznański.

Magisterium z filologii słowiańskiej. Wanda Budziszewska: Język ochweśnicki [polska gwara tajna ze wschodnich Kujaw].

IV. Uniwersytet Wrocławski.

Magisteria. Janina Wojnar-Perekowa: Analiza materiału onomastycznego w t. zw. «Nekrologu premonstratów». — Mag. z filol. słow. Edward Rabiej: Właściwości fonetyczne zapożyczeń dolno-niemieckich w kaszubszczyźnie.

Habilitacja z językoznawstwa polskiego. Stanisław Bąk, doktor lwowski: praca: Badania toponomastyczne na obszarze grodzisk śląskich (Atlas grodzisk śląskich, Pol. Akad. Umiej. 1939, s. 37—82, 89—91); wykład: Ugrupowanie dialektów śląskich i ich nawiązania do sąsiednich narzeczy.

V. Uniwersytet Łódzki.

Magisteria. Zofia Strzelczyk: Liczebnik *dwa* i pokrewne oraz liczba podwójna u Waclawa Potockiego. — Melania Szuster: Mianownik l. mn. rzeczowników męskich u Waclawa Potockiego. — Irena Winkler: Ściągnięte i nieściągnięte formy czasowników *bać się*, *stać*, *chwiać*, *łać* itd. w zabytkach staropolskich i współczesnych gwarach ludowych.

VI. Uniwersytet Toruński.

Magisteria. Halina Gaede: Opis gwar wsi: Ząbie w pow. olsztyńskim i Kurki w pow. ostródzkim. — Franciszek Peplowski: Uwagi nad językiem Stanisława Trembeckiego.

VII. Uniwersytet Katolicki w Lublinie.

Magisterium. Bianka Boczar: O grafice i języku setnego pisarza rot warszawskich.

Odpowiedzi Redakcji

401. W Dzienniku Polskim i Filmie Polskim spotkałem się kilkakrotnie z wyrażeniem «film *dokumentarny*». To słowo *dokumentarny* zamiast *dokumentalny* wydaje mi się niewłaściwe. Mówi się przecież *sentyment* i *sentymentalny*, też *instrumentalny*, a nie *sentymentalny* i *instrumentalny*. Prosiłbym o wyjaśnienie tej sprawy. St. Kw.

— Istotnie, przymiotniki pochodne od zapożyczonych rzeczowników łacińskich tego typu, co *dokument*, przybierają przyrostek złożony z elementu obcego *-al-* i rodzimego *-n(y)*, np. *fundamentalny*, *sentymentalny*, *sakramentalny*, *instrumentalny*, *eksperymentalny*, *monumentalny*. Przyrostek *-aln(y)* jest zresztą żywotny także w innych formacjach, np. *generalny*, *rejentalny*, *kolosalny*, *kolonialny*, *konwencjonalny*, *naturalny*, *tropikalny* i w. i.

W słowniku Lindego (1807) znajdujemy też właśnie *dokumentalny* obok *dokumentny*; podobnie w Słowniku wileńskim (1861). W Słowniku warszawskim (1900) jest *dokumentalny* i *dokumentny* w znaczeniu 'dowodny, niewątpliwy, prawdziwy, istotny, pewny', a ponadto z Szajnochy cytowany *dokumentowy* w znaczeniu, jak z przytoczenia wynika, 'na dokumentach oparty'; znajdujemy tam wreszcie po raz pierwszy przysłówek *dokumentalnie* z odсылaczem do *dokumentalnie* i z zaznaczeniem, że to wyraz rzadko używany.

Można by tedy na podstawie wskazówek słownikowych przypuszczać, że przymiotnik *dokumentarny* i przysłówek *dokumentarnie* ukazały się dopiero u schyłku XIX w. i nie doczekały się wówczas powszechniejszego przyjęcia.

Skądże się wziął *dokumentarny*? U podstawy tego nowotworu znajduje się zapewne wzór francuski: *documentaire*. Znamienne, że w Słowniku francusko-polskim B. Hamela (wydanym bez daty na kilka lat przed wojną przez Trzaskę, Everta i Michalskiego) czytamy: *documentaire* — 'dokumentarny', ale w części polsko-fran-

cuskiej jest tylko hasło *dokumentalny* — 'documentaire', a więc widoczna pewna chwiejność.

Taki nowotwór mógł znaleźć poparcie w formacjach typu *humanitarny*, *agrarny*, *sanitarny*, *partykularny*, *kapilarny*, *alweolarny*, których część odpowiada odnośnym francuskim, np. *humanitaire*, *sanitaire*, *capillaire*, *agraire* — z kontynuantem łacińskiego przyrostka przynależności *-rius*, *-arius*. Część tworzy się wedle tego wzoru przybierając wyosobniony z tamtych formacji przyrostek *-arn(y)*, np. *elitarny*.

Także w języku niemieckim mamy formację pokrewnego typu słowotwórczego: *dokumentarisch*. Na nią powołuje się najnowszy Ukraińsko-niemiecki słownik Z. Kuzeli i J. Rudnyckiego z r. 1943 pod hasłem *dokumentarnyj* 'dokumentarisch, urkundlich'. Bodąże na niej opiera się także polski drugi nowotwór *dokumentaryczny*, np. «Jest to praca dokumentaryczna, powstała w wyniku skrupulatnych i rzetelnych badań oraz statystyk» (A. Rogalski, Życie i Myśl, 1/2, 13, 1950).

Również w języku rosyjskim używa się w ostatnich czasach (według ustnych informacji prof. W. Jakubowskiego) rzadka *dokumentarnyj*, nie notowany w słownikach Dała (1903), Uszakowa (1935) i Czernobajewa (1940), które znają — podobnie jak polszczyzna — *dokumentalnyj* i *dokumentnyj*, używane częściej i uważane za poprawne.

Wypadnie tedy uznać *dokumentarny* za okcydentalizm nowszego pochodzenia, który się szerzy może dla uwydatnienia odcienia znaczeniowego 'na dokumentach oparty i sam stanowiący dokument'. Skoro jednak w znaczeniu wyrazu *dokumentalny* 'pewny, dowiedziony, niewątpliwy' mieści się właściwie także i ów odcień, a sam wyraz ma u nas starą tradycję i oparcie o całą formację słowotwórczą tego typu, należałoby raczej jego używać, niż stosunkowo nowego i nie powszechnie uznawanego nowotworu *dokumentarny*.